ALBERT CAMUS

OBCY

CZĘŚĆ I

Dzisiaj umarła mama. Albo wczoraj, nie wiem. Dostałem depeszę z przytułku: „Matka zmarła. Pogrzeb jutro. Wyrazy współczucia.” Niewiele z tego wynika. To stało się być może wczoraj.

Przytułek dla starców jest w Marengo, osiemdziesiąt kilometrów od Algieru. Wsiądę w autobus o drugiej godzinie i przyjadę po południu. W ten sposób będę mógł nocą czuwać przy zwłokach i wrócić jutro wieczorem. Poprosiłem szefa o dwa dni zwolnienia, w takich okolicznościach nie mógł mi odmówić. Ale nie wyglądał na zadowolonego. Nawet mu powiedziałem: „To nie moja wina.” Nie odpowiedział. Pomyślałem więc, że nie powinienem był mu tego mówić. Zresztą nie miałem się z czego tłumaczyć. To raczej jemu wypadało złożyć mi kondolencje. Ale zapewne zrobi to pojutrze, gdy mnie zobaczy w żałobie. Na razie jest trochę tak, jakby mama wcale nie umarła. Po pogrzebie, przeciwnie, sprawa będzie załatwiona i wszystko przybierze formy bardziej oficjalne.

Pojechałem autobusem o drugiej. Było bardzo gorąco. Zjadłem, jak zwykle, w restauracji u Celestyna. Wszyscy mi współczuli, a Celestyn powiedział: „Ma się tylko jedną matkę.” Kiedy wychodziłem, odprowadzili mnie do drzwi. Byłem nieco roztargniony, ponieważ musiałem jeszcze wstąpić do Emanuela, żeby pożyczyć czarny krawat i opaskę z krepy. Stracił wuja przed kilku miesiącami.

Biegłem, żeby się nie spóźnić na autobus. Ten pośpiech i bieganina, a ponadto kołysanie, zapach paliwa, odblask szosy i nieba, zapewne wszystko razem, wprawiły mnie w drzemkę. Spałem przez prawie całą drogę. Obudziłem się wsparty o jakiegoś oficera, który uśmiechał się do mnie i spytał, czy jadę z daleka. Powiedziałem: „Tak”, żeby przeciąć rozmowę.

Przytułek leży o dwa kilometry od miasta. Zrobiłem tę drogę piechotą. Chciałem zaraz zobaczyć mamę. Ale dozorca powiedział, że powinienem odwiedzić dyrektora. Ponieważ był zajęty, czekałem trochę. Dozorca przez cały czas coś do mnie mówił; wreszcie zobaczyłem dyrektora: przyjął mnie w swoim gabinecie. Jest to mały staruszek z Legią Honorową. Przyjrzał mi się swymi jasnymi oczkami. Potem uścisnął mi dłoń, którą przytrzymał tak długo, że nie bardzo wiedziałem, jak ją wycofać. Zajrzał do kartoteki i powiedział: „Pani Meursault przybyła tu trzy lata temu. Pan był jej jedyną podporą.” Sądziłem, że stawia mi jakieś zarzuty, i zacząłem wyjaśniać. Ale przerwał mi: „Pan nie musi się usprawiedliwiać, moje drogie dziecko. Czytałem kartotekę pańskiej matki. Pan nie mógł zaspokoić jej potrzeb. Musiała mieć pielęgniarkę. Pana pobory są skromne. Zważywszy to wszystko, tutaj było jej lepiej.” Powiedziałem: „Tak, panie dyrektorze.” Dodał: „Wie pan, miała tu przyjaciół, ludzi w jej wieku. Mogła dzielić z nimi zainteresowania dla spraw z dawnych lat. Pan jest młody, nudno by jej było z panem.”

To prawda. Kiedy mama była w domu, spędzała czas w milczeniu, wodząc za mną oczami. W pierwszych dniach pobytu w przytułku często płakała. Ale to była sprawa przyzwyczajeń. Po paru miesiącach płakałaby, gdyby ją odebrać z przytułku. Też z racji przyzwyczajeń. Trochę dlatego w ostatnim roku prawie tu nie przyjeżdżałem. A również ze względu na stratę niedzieli, nie licząc trudów związanych z dojściem do autobusu, kupnem biletów i dwoma godzinami jazdy.

Dyrektor jeszcze coś mówił. Ale już go prawie nie słuchałem. Potem powiedział: „Sądzę, że chce pan zobaczyć matkę." Podniosłem się bez słowa, a on pierwszy skierował się ku drzwiom. Na schodach wyjaśnił: „Przenieśliśmy ją do małej kostnicy. Żeby oszczędzić innych. Za każdym razem, kiedy któryś z pensjonariuszy umiera, reszta jest przez dwa, trzy dni bardzo zdenerwowana. To utrudnia pracę." Przechodziliśmy przez dziedziniec, gdzie wielu starców rozmawiało w małych grupkach. Gdy mijaliśmy ich - milkli. Ale za naszymi plecami rozmowy rozpoczynały się na nowo. Można by rzec - stłumione skrzeczenie papug. Przed drzwiami małego budynku dyrektor opuścił mnie: „Zostawiam pana, panie Meursault. Jestem do pana dyspozycji u siebie w biurze. Pogrzeb został ustalony na dziesiątą godzinę rano. Sądziliśmy, że umożliwi to panu czuwanie w nocy przy zmarłej. Jeszcze słowo: zdaje się, że pańska matka często mówiła do swoich współtowarzyszy, że pragnie mieć pogrzeb religijny. Biorę na siebie załatwienie wszystkiego, co trzeba. Ale chciałem pana o tym powiadomić." Podziękowałem mu. Mama, nie będąc ateistką, nigdy za życia nie myślała o religii.

Wszedłem. Salka była bardzo jasna, pobielona wapnem, pokryta szklanym dachem. Umeblowanie składało się z krzeseł i kozłów. Dwa z nich, pośrodku, podpierały trumnę z zamkniętym wiekiem. Widać było tylko błyszczące śruby, do połowy wkręcone, odstające od desek zaciągniętych na kolor orzecha. Obok trumny siedziała pielęgniarka, Arabka, w białym kitlu i jaskrawej chustce na głowie.

W tym momencie zjawił się za moimi plecami dozorca. Musiał biec. Zacinał się trochę: „Trumna została zamknięta, ale ja odśrubuję wieko, żeby pan mógł ją zobaczyć." Zbliżał się już do trumny, kiedy go zatrzymałem. Powiedział: „Nie chce pan?" Odpowiedziałem: „Nie." Umilkł, a ja zmieszałem się, ponieważ czułem, że nie powinienem był tego powiedzieć. Po chwili spojrzał na mnie i spytał: „Dlaczego?", ale bez wyrzutu, jakby się tylko informował. Odrzekłem: „Nie wiem." Wtedy kręcąc swe białe wąsy oświadczył nie patrząc na mnie: „Rozumiem." Miał ładne, jasnoniebieskie oczy i różową cerę. Podał mi krzesło i sam usiadł za mną, nieco w tyle. Pielęgniarka wstała i skierowała się ku wyjściu. Dozorca powiedział: „Ma szankra." Ponieważ nie zrozumiałem, spojrzałem na pielęgniarkę i zobaczyłem, że poniżej oczu owijał ją bandaż, który biegł wokół głowy. Na wysokości nosa bandaż leżał płasko. W jej twarzy widać było tylko biel tego bandaża.

Kiedy wyszła, dozorca odezwał się: „Zostawię pana samego." Nie wiem, jaki gest

wykonałem, ale nie wyszedł i stał za mną. Jego obecność za moimi plecami krępowała mnie. Izbę wypełniało piękne światło późnego popołudnia. Dwa szerszenie brzęczały, obijając się o szklany dach. Czułem, jak ogarnia mnie senność. Nie odwracając się, powiedziałem do dozorcy: „Od dawna pan tu jest?” Odpowiedział natychmiast: „Pięć lat”, jak gdyby od początku czekał na moje pytanie.

Potem rozgadał się na dobre. Zdziwiłby się bardzo, gdyby mu kiedyś powiedziano, że skończy jako dozorca przytułku w Marengo. Miał sześćdziesiąt cztery lata i był paryżaninem. W tym momencie przerwałem: „Ach, pan nie jest stąd?” Potem przypomniałem sobie, że nim mnie zaprowadził do dyrektora, opowiadał mi o mamie. Powiedział, że trzeba ją pochować bardzo szybko, gdyż na równinie jest gorąco, zwłaszcza w tej okolicy. Wyznał mi wtedy, że mieszkał w Paryżu i że trudno mu o tym zapomnieć. W Paryżu zostaje się przy zmarłym przez trzy, a nawet cztery dni. Tu nie ma czasu, człowiek nie uświadomił sobie jeszcze, co się stało, a już trzeba biec za karawanem. Jego żona odezwała się wówczas: „Przestań, to nie są tematy dla pana.” Stary poczerwieniał i zaczął się usprawiedliwiać. Przerwałem mu mówiąc: „Ależ nie, ależ nie.” Uważałem, że to, co powiedział, było słuszne i interesujące.

W kostnicy powiadomił mnie, że do przytułku dostał się jako nędzarz. Ponieważ jednak czuł się w pełni sił, zaproponował, że będzie dozorcą. Zwróciłem mu uwagę, że w końcu jest jednak pensjonariuszem. Powiedział, że nie. Już przedtem zastanowił mnie ton, jakim mówił „oni”, „tamci”, rzadziej „starzy”, opowiadając o pensjonariuszach, z których wielu nie miało więcej lat niż on. Ale, oczywiście, zachodziła różnica: on był dozorcą i miał w pewnym sensie władzę nad nimi.

W tym momencie weszła pielęgniarka. Zmierzch zapadł gwałtownie. Noc szybko gęstniała nad szklanym dachem. Dozorca przekręcił kontakt, nagły wybuch światła oślepił mnie. Zaprosił mnie do refektarza na obiad. Ale nie byłem głodny. Zaofiarował się więc, że przyniesie filiżankę kawy z mlekiem. Ponieważ bardzo lubię kawę z mlekiem, zgodziłem się, powrócił po chwili z tacą. Wypiłem. Potem miałem ochotę zapalić. Zawahałem się jednak, gdyż nie wiedziałem, czy mogę to zrobić przy mamie. Zastanowiłem się: to nie miało najmniejszego znaczenia. Poczęstowałem dozorcę papierosem i zapaliliśmy.

W pewnej chwili powiedział mi: „Wie pan, przyjaciele pańskiej matki przyjdą także czuwać przy niej. Taki jest zwyczaj. Będę musiał przygotować dla nich krzesła i czarną kawę.” Spytałem, czy można zgasić jedną z lamp. Odblask światła na białych ścianach męczył mnie. Powiedział, że to niemożliwe. Instalacja jest skonstruowana w ten sposób: wszystkie albo żadna. Przestałem zwracać na niego uwagę. Wychodził, wracał, rozmieszczał krzesła. Na jednym z nich ustawił wokół dzbanka do kawy stos filiżanek. Potem usiadł naprzeciw mnie, po drugiej stronie mamy. Pielęgniarka znajdowała się tu również, w głębi, odwrócona plecami. Nie widziałem, co robi. Ale po ruchu ramion mogłem przypuszczać, że robi na drutach. Panował łagodny spokój, kawa rozgrzała mnie, przez otwarte drzwi wchodził

zapach nocy i kwiatów. Przypuszczam, że się trochę zdrzemnąłem.

Obudził mnie szelest. Gdy otworzyłem oczy, izba wydała mi się jeszcze bardziej lśniąca białością. Wokół mnie nie było ani skrawka cienia i każdy przedmiot, każde załamanie rysowało się z ostrością, która raniła wzrok. Właśnie w tym momencie weszli przyjaciele mamy. Było ich z dziesięcioro, sunęli milcząc, w oślepiającym świetle. Usiedli, ani jedno krzesło nie skrzypnęło. Widziałem ich tak, jak jeszcze nigdy nikogo nie udało mi się zobaczyć, nie umknął mi żaden szczegół ich twarzy czy ubrania. A przecież nie słyszałem ich i z trudem przyszło mi uwierzyć w ich realność. Prawie wszystkie kobiety nosiły fartuchy, troki opasujące talie jeszcze bardziej wypychały do przodu ich wzdęte brzuchy. Nie zauważyłem nigdy dotąd, do jakiego stopnia stare kobiety mogą być brzuchate. Mężczyźni, prawie wszyscy, byli bardzo chudzi i trzymali laski. Uderzyło mnie, że w ich twarzach nie widziałem oczu, jedynie matowe lśnienie w zagłębieniu zmarszczek. Kiedy usiedli, większość z nich zaczęła mi się przyglądać i potrząsać z zakłopotaniem głowami; ich wargi zostały całkowicie wchłonięte przez bezzębne usta, toteż nie wiedziałem, czy mnie pozdrawiają, czy tylko wstrząsa nimi starcze drżenie. Sądzę, że raczej pozdrawiali mnie. I właśnie wtedy spostrzegłem, że wszyscy oni, kiwając głowami, siedzą naprzeciw mnie, wokół dozorcy. Przez chwilę doznałem zabawnego uczucia, że byli tu, aby mnie sądzić.

Nieco później jedna z kobiet zaczęła płakać. Siedziała w drugim rzędzie, zasłonięta przez którąś ze swych towarzyszek, nie widziałem jej dobrze. Płakała wydając krótkie, miarowe okrzyki; myślałem, że nigdy nie skończy. Reszta jakby tego w ogóle nie słyszała. Siedzieli pochyleni, ponurzy i milczący. Patrzyli na trumnę lub na swe laski, na cokolwiek bądź zresztą i zdawali się niczego poza tym nie dostrzegać. Kobieta ciągle płakała. Bardzo mnie to dziwiło, ponieważ wcale jej nie znałem. Wolałbym tego nie słuchać. Ale nie śmiałem nic powiedzieć. Dozorca pochylił się ku niej, coś szepnął, a ona potrząsnęła głową, wybełkotała jakieś słowa i zawodziła dalej, tak samo monotonnie. Dozorca przeniósł się więc na moją stronę. Usiadł obok. Po dłuższej chwili oświadczył nie patrząc na mnie: „Była bardzo przywiązana do pańskiej matki. Powiedziała, że matka była tutaj jej jedyną przyjaciółką i że teraz nie ma już nikogo.”

Siedzieliśmy tak przez dłuższą chwilę. Westchnienia i szlochy kobiety stawały się coraz rzadsze. Raz po raz pociągała nosem. Wreszcie ucichła. Nie chciało mi się już spać, ale byłem bardzo zmęczony i bolał mnie krzyż. Teraz z kolei sprawiało mi przykrość milczenie tych ludzi. Od czasu do czasu słyszałem tylko dziwny odgłos i nie mogłem zrozumieć, skąd on pochodzi. W końcu odgadłem: to niektórzy ze starców ssali wnętrze swych policzków wydając przy tym dziwaczne mlaskanie. Byli tak dalece pogrążeni w myślach, że robili to bezwiednie. Odniosłem nawet wrażenie, że ta zmarła, leżąca pomiędzy nimi, nic w ich oczach nie znaczy. Ale teraz sądzę, że to było fałszywe wrażenie.

Wypiliśmy wszyscy kawę podaną przez dozorcę. Potem już nic nie pamiętam. Noc

minęła. Przypominam sobie, że kiedy na chwilę otworzyłem oczy, starcy spali wsparci o siebie i tylko jeden, z brodą na dłoniach wpitych w laskę, wpatrywał się we mnie, jak gdyby czekając na moje przebudzenie. Potem znowu usnąłem. Obudziłem się, ponieważ coraz bardziej bolał mnie krzyż. Dzień snuł się po szybach dachu. Później jeden ze starców zbudził się i zaczął kaszleć. Pluł do dużej kraciastej chustki, każde splunięcie wyrywał z siebie z trudem. Obudził innych i dozorca powiedział, że powinni już pójść. Wstali. Po pełnym niewygód czuwaniu mieli twarze jak z popiołu. Wychodząc, ku memu wielkiemu zdziwieniu, każdy uścisnął mi rękę - jak gdyby ta noc, w czasie której nie zamieniliśmy słowa, nawiązała między nami zażyłość.

Byłem zmęczony. Dozorca zaprowadził mnie do siebie, gdzie mogłem się trochę odświeżyć. Wypiłem znowu kawę z mlekiem, była bardzo dobra. Kiedy wyszedłem, dzień był już w pełni. Nad wzgórzami, dzielącymi Marengo od morza, czerwieniło się niebo. Wiatr przelatując nad nimi, przynosił zapach soli. Zapowiadał się piękny dzień. Od dawna nie wyjeżdżałem na wieś i czułem, jaką przyjemność sprawiłby mi spacer, gdyby nie ta sprawa z mamą.

Czekałem na dziedzińcu, pod platanem. Wdychałem zapach świeżej ziemi i już nie byłem senny. Pomyślałem o kolegach z biura. O tej godzinie wstawali, by iść do pracy; dla mnie to była zawsze najtrudniejsza godzina. Zastanawiałem się jeszcze trochę nad tymi sprawami, ale przerwał mi dzwonek, który zadźwięczał wewnątrz budynku. Za oknami powstał jakiś rumor, potem wszystko ucichło. Słońce na niebie wspięło się już nieco wyżej, zaczęło ogrzewać mi stopy. Dozorca przeszedł przez podwórze i powiedział, że dyrektor mnie wzywa. Poszedłem do jego gabinetu. Dał mi do podpisu szereg dokumentów. Spostrzegłem, że był ubrany na czarno i miał spodnie w prążki. Wziął słuchawkę do ręki i zwrócił się do mnie: „Funkcjonariusze pogrzebowi są już na miejscu. Każę im zamknąć trumnę. Czy chce pan przedtem zobaczyć matkę po raz ostatni?” Powiedziałem: „Nie.” Zlecił do telefonu ściszając głos: „Figeac, powiedz ludziom, że mogą już iść.”

Następnie powiedział, że weźmie udział w pogrzebie; podziękowałem mu. Usiadł za biurkiem skrzyżowawszy krótkie nóżki. Oznajmił mi, że będziemy tylko ja, on oraz jedna z pielęgniarek. Pensjonariuszom z zasady zabrania się chodzić na pogrzeby. Pozwala im się tylko czuwać przy zwłokach. „Ze względów humanitarnych” - zauważył. Ale w tym wypadku udzielił zezwolenia na udział w pogrzebie staremu przyjacielowi mamy: „Tomaszowi Perez.” Tu dyrektor uśmiechnął się. Powiedział: „Pan rozumie - to było uczucie nieco dziecinne. Ale on i pańska matka nigdy się nie rozstawali. W przytułku żartowano z nich, mówiono do Pereza: <> Perez śmiał się. Sprawiało im to przyjemność. Faktem jest, że śmierć pani Meursault bardzo nim wstrząsnęła. Nie sądzę, iż powinienem był odmówić mu pozwolenia. Ale za poradą naszego lekarza zabroniłem mu czuwać wczoraj.”

Siedzieliśmy dość długo w milczeniu. Dyrektor wstał i patrzył przez okno. W pewnym

momencie powiedział: „Oto i proboszcz z Marengo. Pośpieszył się.” Uprzedził mnie, że do kościoła, który znajduje się w samym miasteczku, jest około trzech kwadransów drogi. Wyszliśmy. Przed kostnicą stał proboszcz i dwóch ministrantów. Jeden z nich trzymał kadzielnicę, ksiądz pochylił się ku niemu, by wyregulować długość srebrnego łańcuszka.. Kiedy podeszliśmy, ksiądz wyprostował się. Zwrócił się do mnie mówiąc: „Mój synu”, i dodał parę słów. Wszedł do wnętrza, ja za nim.

Spostrzegłem od pierwszego rzutu oka, że śruby zostały wkręcone w trumnę i że w kostnicy znajduje się czterech czarno ubranych mężczyzn. Usłyszałem jednocześnie, że dyrektor mówi do mnie, iż karawan czeka na drodze i że ksiądz rozpoczął swe modły. Od tego momentu wszystko poszło bardzo szybko. Mężczyźni zbliżyli się z sukienną płachtą do trumny. Ksiądz, jego asysta, dyrektor i ja wyszliśmy. Przed drzwiami stała pani, której nie znałem. „Pan Meursault” - powiedział dyrektor. Nie dosłyszałem nazwiska tej pani, domyśliłem się jednak, że jest to wydelegowana pielęgniarka. Skłoniła bez uśmiechu swoją długą, kościstą twarz. Potem ustawiliśmy się w szeregu, aby przepuścić ciało. Idąc za tragarzami, wyszliśmy z przytułku. Przed bramą czekał karawan. Lakierowany, podłużny i lśniący - przywodził na myśl piórnik. Obok niego stał „mistrz ceremonii”, mały człowieczek w śmiesznym stroju, oraz jakiś staruszek w nienaturalnej pozie. Domyśliłem się, że to pan Perez. Nosił garnitur, którego spodnie fałdowały się nad butami w harmonijkę, miękki kapelusz o okrągłej główce i szerokim rondzie (zdjął go, gdy trumna minęła drzwi) i czarną muszkę, zbyt małą do koszuli o dużym, białym kołnierzu. Pod nosem, naszpikowanym wągrami, drżały mu wargi. Spomiędzy jego białych, dość rzadkich włosów wystawały dziwne uszy, odstające i postrzępione na brzegach, których krwawoczerwony kolor przy bladej twarzy zwrócił moją uwagę. „Mistrz ceremonii” wskazał nam miejsca. Na przedzie szedł proboszcz, potem karawan. Wokół niego czterech ludzi. Z tyłu dyrektor i ja; wydelegowana pielęgniarka i pan Perez zamykali pochód.

Niebo było już bardzo słoneczne. Zaczynało ciążyć nad ziemią i upał wzmagał się gwałtownie. Nie wiem dlaczego, czekaliśmy dość długo, zanim kondukt ruszył w drogę. W ciemnym ubraniu było mi gorąco. Staruszek, który nakrył głowę, znowu zdjął kapelusz. Przypatrywałem mu się, zwrócony nieco w jego stronę, podczas gdy dyrektor opowiadał mi o nim. Mówił, że mama i pan Perez chodzili często wieczorem w towarzystwie pielęgniarki na spacer, aż do miasteczka. Spojrzałem na pola ciągnące się wokół. Patrząc poprzez rzędy cyprysów, które wiodły ku wzgórzom bliskim nieba, na tę ziemię rudą i zieloną, na domki rzadkie i wyraźnie narysowane - zrozumiałem mamę. Wieczory w tej okolicy musiały być melancholijnym wytchnieniem. Dzisiaj przelewające się słońce wprawiło ten pejzaż w drżenie, czyniąc go nieludzkim i przygnębiającym.

Ruszyliśmy. Wówczas zauważyłem, że Perez lekko utyka. Karawan powoli nabierał szybkości i stary zaczął zostawać w tyle. Jeden z ludzi otaczających karawan również dał się

wyprzedzić i szedł teraz w jednym rzędzie ze mną. Byłem zdumiony szybkością, z jaką słońce pięło się po niebie. Uświadomiłem sobie, że już od dawna pola rozbrzmiewają brzęczeniem owadów i szelestem traw. Pot ściekał mi po policzkach. Ponieważ nie miałem kapelusza, wachlowałem się chusteczką. Grabarz powiedział coś, czego nie dosłyszałem. Jednocześnie wycierał czaszkę chustką, którą trzymał w lewej ręce, prawą uchylając czapkę. Spytałem go: „Co?" Powtórzył wskazując na niebo: „Praży." Powiedziałem: „Tak." Nieco później spytał: „Przed nami to pańska matka?" Znowu powiedziałem: „Tak." - „Była już stara?" Odpowiedziałem: „Tak sobie", ponieważ nie znałem dokładnie jej wieku. Umilkł wreszcie. Odwróciłem się i zobaczyłem starego Pereza jakieś pięćdziesiąt metrów za nami. Spieszył się bardzo, wymachiwał kapeluszem, który trzymał w ręku. Spojrzałem także na dyrektora. Szedł z dużą godnością, bez jednego niepotrzebnego gestu, na czole perliło mu się kilka kropli potu, ale ich nie ścierał.

Wydało mi się, że kondukt idzie nieco szybciej. Wokół ciągle te same świecące, zalane słońcem pola. Blask nieba był nie do zniesienia. W pewnej chwili weszliśmy na odcinek drogi, który niedawno naprawiono. Asfalt popękał w słońcu. Stopy zagłębiały się w nim odsłaniając połyskliwy miąższ. Skórzany kapelusz woźnicy, widoczny ponad karawanem, zdawał się być ulepiony z tej czarnej mazi. Czułem się zagubiony między bladobłękitnym niebem i monotonią tych barw: lepką czernią rozdeptanej smoły, matową czernią ubrań, połyskliwą czernią karawanu. Zapach skóry i łajna końskiego, który szedł od karawanu, lakieru i kadzidła, zmęczenie po nieprzespanej nocy - wszystko razem - zmąciło mi wzrok i myśli. Odwróciłem się raz jeszcze: wydało mi się, że Perez został bardzo daleko, zagubiony w kłębach żaru, potem znikł mi zupełnie. Poszukałem go wzrokiem i zobaczyłem, że zboczył z drogi i idzie na przełaj polami. Zauważyłem także, że szosa zakręca przede mną. Zrozumiałem więc, że Perez, który znał okolicę, skraca sobie drogę, by nas dogonić. Na zakręcie zrównał się z nami. Potem zgubiliśmy go. Znowu poszedł na przełaj polami, powtarzało się to kilkakrotnie. Czułem, jak krew wali mi w skroniach.

Wszystko odbyło się następnie tak pośpiesznie, pewnie i po prostu, że nic prawie nie zapamiętałem. Jedno tylko: kiedy wchodziliśmy do miasteczka, wydelegowana pielęgniarka odezwała się do mnie. Miała dziwny głos, który nie pasował do jej twarzy, głos melodyjny i wibrujący. Powiedziała: „Idąc powoli ryzykuje się udar. Ale idąc zbyt szybko, człowiek się poci i w kościele chwytają dreszcze." Miała rację. Nie było wyjścia. Zachowałem jeszcze parę obrazów z tego dnia: na przykład twarz Pereza, gdy po raz ostatni spotkał się z nami koło wsi. Wielkie łzy zdenerwowania i zmęczenia zalewały mu policzki. Ale z powodu zmarszczek nie spływały. Rozlewały się, łączyły ze sobą tworząc na zniszczonej twarzy lśniące szkliwo. I jeszcze kościół, wieśniacy na chodnikach, czerwone geranium na grobach cmentarza, omdlenie Pereza (powiedziałbyś: połamany pajacyk), ziemia koloru krwi spadająca na trumnę mamy, biały miąższ korzeni, które się z ziemią mieszały, znowu ludzie,

głosy, wieś, czekanie przed kawiarnią, bezustanny warkot motoru i radość, gdy autobus wjechał w plątaninę świateł Algieru i kiedy pomyślałem, że niedługo się położę i będę spał przez dwanaście godzin.

Obudziwszy się zrozumiałem, dlaczego mój szef miał niezadowoloną minę, gdy zwróciłem się do niego o dwa dni zwolnienia: dziś jest sobota. Zapomniałem o niej, że tak powiem, ale wstając uświadomiłem to sobie. Mój szef pomyślał oczywiście, że dzięki temu, wraz z niedzielą będę miał cztery dni urlopu i nie mogło mu to sprawić przyjemności. Lecz po pierwsze to nie moja wina, że mamę grzebano wczoraj, a nie dzisiaj, a po drugie wolną sobotę i niedzielę miałbym w każdym wypadku. Mimo to rozumiałem oczywiście mego szefa.

Wstałem z trudem, ponieważ byłem zmęczony wczorajszym dniem. Przy goleniu zastanawiałem się, co będę robił, i zdecydowałem pójść się wykąpać. Pojechałem tramwajem do kąpieliska koło portu. Tam zanurzyłem się w basenie portowym. Było dużo młodzieży. W wodzie natrafiłem na dawną maszynistkę z mojego biura, Marię Cardana, na którą miałem kiedyś ochotę. Myślę, że ona na mnie także. Ale niedługo potem zmieniła posadę i zabrakło nam czasu. Pomogłem jej wejść na boję, dotknąłem przy tym lekko jej piersi. Byłem jeszcze w wodzie, kiedy ona leżała już płasko na boi. Odwróciła się do mnie. Włosy spadały jej na oczy, śmiała się. Podciągnąłem się obok niej na boję. Było przyjemnie, odchyliłem głowę do tyłu i niby żartem położyłem na jej brzuchu. Nic nie powiedziała, zostałem więc w tej pozycji. Przed oczami miałem niebo, było błękitne i złote. Pod karkiem czułem łagodnie tętniący brzuch Marii. Leżeliśmy długo na boi, na pół uśpieni. Kiedy słońce stało się zbyt silne, zsunęła się do wody, ja za nią. Dogoniłem ją, objąłem wpół ramieniem i popłynęliśmy razem. Ciągle się śmiała. Gdyśmy się wycierali na brzegu, powiedziała: „Jestem bardziej brązowa niż ty." Spytałem, czy chciałaby pójść dziś wieczorem do kina. Znowu się zaśmiała i odrzekła, że ma ochotę obejrzeć film z Fernandelem. Kiedy już byliśmy ubrani, zrobiła bardzo zdziwioną minę na widok mego czarnego krawatu i spytała, czy jestem w żałobie. Wyjaśniłem jej, że mama umarła. Ponieważ chciała wiedzieć, kiedy to się stało, odpowiedziałem: „Wczoraj." Cofnęła się o krok, ale nie uczyniła żadnej uwagi. Miałem ochotę powiedzieć jej, że to nie moja wina, lecz powstrzymała mnie myśl, że mówiłem to już mojemu szefowi. To nic nie znaczyło. Tak czy inaczej - jest się zawsze trochę winnym.

Wieczorem Maria o wszystkim zapomniała. Film był miejscami komiczny, ale doprawdy zbyt głupi. Jej udo stykało się z moim. Pieściłem jej piersi. Pod koniec seansu pocałowałem ją, ale jakoś niezręcznie. Po kinie przyszła do mnie.

Kiedy się obudziłem, Maria już wyszła. Mówiła, że musi iść do ciotki. Pomyślałem, że jest niedziela, i zrobiło mi się smutno: nie lubię niedzieli. Odwróciłem się na drugi bok. Poczułem na poduszce zapach soli, pozostawiły go włosy Marii, i spałem do dziesiątej. Potem do południa paliłem papierosy ciągle leżąc. Nie chciałem zjeść obiadu jak zwykle u

Celestyna, ponieważ z pewnością wypytywaliby mnie, a ja tego nie lubię. Usmażyłem jajka i zjadłem wprost z patelni, bez chleba, bo mi go zbrakło, a nie miałem ochoty schodzić i kupować.

Po śniadaniu nudziłem się trochę, łażąc po mieszkaniu. Było wygodne, kiedy była tu mama. Teraz jest dla mnie za duże, musiałem przenieść do mego pokoju stół z jadalni. Mieszkam tylko w tej izbie między krzesłami wyplatanymi słomą i trochę już zapadłymi, szafą z pożółkłym lustrem, toaletką i mosiężnym łóżkiem. Reszta pozostaje w zaniedbaniu. Nieco później, żeby zająć się czymkolwiek, zacząłem czytać jakąś starą gazetę. Wyciąłem z niej reklamę soli Kruszena i wkleiłem do starego zeszytu, gdzie zbieram rzeczy, które mnie w prasie ubawiły. Umyłem ręce i w końcu usadowiłem się na balkonie.

Mój pokój wychodzi na główną ulicę przedmieścia. Było piękne popołudnie. Jednak jezdnia była jeszcze lepka, a nieliczni przechodnie śpieszyli się. Najpierw wyszła na spacer rodzina, dwóch chłopców w marynarskich ubrankach, spodenki poniżej kolan, nieco skrępowani w tych sztywnych strojach, oraz dziewczynka z dużą, różową kokardą i w czarnych lakierkach. Za nimi matka, ogromna w sukni z brązowego jedwabiu, i ojciec, mały, wątły człowieczek, którego znałem z widzenia. Miał słomkowy kapelusz, muszkę, w ręku niósł laskę. Widząc go obok żony zrozumiałem, dlaczego w dzielnicy mówią o nim, że jest wytworny. Nieco później szli młodzi ludzie z przedmieścia, włosy wypomadowane, czerwone krawaty, zbyt wcięte marynarki, haftowana chusteczka w kieszonce, półbuciki z kwadratowymi nosami. Myślę że szli do kin w śródmieściu. Dlatego wyszli tak wcześnie, spieszyli się do tramwaju, śmiejąc się bardzo głośno.

Po nich ulica powoli opustoszała. Sądzę, że seanse już się rozpoczęły. Na ulicy zostali tylko sklepikarze i koty. Niebo, ponad fikusami obrzeżającymi ulice, było jasne, ale bez blasku. Na chodniku na wprost mnie handlarz tytoniem wyniósł krzesło, ustawił je przed swymi drzwiami i usiadł okrakiem, położył obie ręce na oparciu. Tramwaje, przed chwilą przepełnione, były już prawie puste. W małej kawiarni „Pod Pierrotem", obok sklepu z tytoniem, kelner zamiatał trociny w pustej sali. Była naprawdę niedziela.

Odwróciłem moje krzesło i ustawiłem je podobnie jak handlarz tytoniu, ponieważ uznałem, że tak jest wygodniej. Wypaliłem dwa papierosy, wszedłem na powrót, żeby wziąć kawałek czekolady, wróciłem i zjadłem go przy oknie. W chwilę potem niebo pociemniało, sądziłem, że będziemy mieli letnią burzę. Tymczasem zaczęło się powoli rozjaśniać. Ale przepływające chmury zostawiły na ulicy jak gdyby obietnicę deszczu, czyniąc ją bardziej mroczną. Długo przyglądałem się niebu.

O piątej z hałasem nadjechały tramwaje. Przywoziły ze stadionów podmiejskich gromady widzów, uczepionych stopni i buforów. Następne tramwaje przywiozły zawodników, których poznawałem po małych walizeczkach. Ryczeli i śpiewali co sił w płucach, że ich klub jest nie do pobicia. Wielu dawało mi znaki. A jeden nawet krzyknął:

„Daliśmy im.” Potwierdziłem „tak” skinieniem głowy. Począwszy od tej chwili zaczęły napływać auta.

Dzień przesunął się znowu trochę. Niebo, ponad dachami, stało się czerwone i z nadchodzącym wieczorem ulice ożywiły się. Spacerowicze powracali po trochu. Pośród innych rozpoznałem wytwornego pana. Dzieci płakały albo dawały się ciągnąć. Prawie natychmiast dzielnicowe kina wyrzuciły na ulice falę widzów. Wśród nich młodzi ludzie mieli ruchy bardziej niż zwykle zdecydowane, pomyślałem, że musieli oglądać film awanturniczy. Ci, którzy wracali z kin w śródmieściu, przybyli nieco później. Byli bardziej skupieni. Ich śmiech brzmiał teraz rzadziej, robili wrażenie zmęczonych i zamyślonych. Zostawali na ulicy, przechadzając się po przeciwległym chodniku. Młode dziewczęta z dzielnicy, z odkrytymi głowami, trzymały się pod ręce. Chłopcy tak się ustawiali, żeby przeciąć im drogę, rzucali żarciki, a one śmiały się i odwracały głowy. Te, które znałem, kiwały do mnie.

Lampy uliczne zapaliły się nagle i od razu zbladły pierwsze gwiazdy, które wystąpiły z nadejściem nocy. Poczułem, że od tego przyglądania się chodnikom nabitym ludźmi i światłami zmęczyły mi się oczy. Mokry bruk zalśnił w świetle lamp, tramwaje w regularnych odstępach rzucały odblask na połyskliwe włosy, uśmiech, srebrną bransoletkę. Niedługo potem gdy tramwaje jeździły już rzadziej, a noc, ponad drzewami i lampami, stała się zupełnie czarna, dzielnica zaczęła niepostrzeżenie pustoszeć i wreszcie pierwszy kot przeszedł powoli przez znowu bezludną ulica. Pomyślałem wtedy, że trzeba zjeść obiad. Bolała mnie trochę szyja od długiego opierania się o krzesło. Zszedłem kupić chleb i makaron, przyrządziłem wszystko i zjadłem stojąc. Chciałem wypalić papierosa w oknie, ale powietrze ochłodziło się i było mi trochę zimno. Zamknąłem okno i wracając zobaczyłem w lustrze skrawek stołu, na którym spirytusowa lampa sąsiadowała z kawałkami chleba. Pomyślałem, że minęła niedziela, jeszcze jedna z rzędu, że mama jest już pochowana, że wrócę do pracy i że w gruncie rzeczy nic się nie zmieniło.

Dzisiaj w biurze dużo pracowałem. Szef był miły. Spytał, czy nie zmęczyłem się zbytnio, on też był ciekaw wieku mamy. Powiedziałem, żeby się nie pomylić, „około sześćdziesiątki”, nie wiem dlaczego, przyjął to z ulgą i uznał sprawę za skończoną.

Na moim stole nagromadził się stos ceduł, musiałem je wszystkie sprawdzić. Nim wyszedłem z biura na obiad, umyłem ręce. W południe bardzo lubię tę chwilę. Wieczorem sprawia mi to mniejszą przyjemność, gdyż ręcznik, którego się używa, jest całkiem wilgotny: służył cały dzień. Pewnego dnia zwróciłem na to uwagę szefowi. Powiedział, że to oczywiście przykre, ale że przecież jest to szczegół bez znaczenia. Wyszedłem z Emanuelem, który pracuje w ekspedycji, nieco później niż zwykle, o wpół do pierwszej. Z biura widać morze, staliśmy chwilę patrząc na statki w jarzącym się od słońca porcie. W tym momencie z hukiem motoru i łańcuchów nadjechała ciężarówka. Emanuel spytał: „Pojedziemy?”;

puściłem się biegiem. Ciężarówka minęła nas, rzuciliśmy się w pogoń. Pogrążyłem się w hałasie i kurzu. Nic już nie widziałem, czułem tylko niepohamowany pęd pośród dźwigów i maszyn, na horyzoncie wirowały maszty, a bliżej kadłuby okrętów, wzdłuż których biegliśmy. Pierwszy schwyciłem za klapę i skoczyłem w biegu. Potem pomogłem usadowić się Emanuelowi. Z trudem łapaliśmy powietrze, ciężarówka skakała w kurzu i słońcu na nierównym bruku wybrzeża. Emanuel śmiał się do utraty tchu.

Zajechaliśmy do Celestyna zlani potem. Był tam jak zwykle - gruby, z białymi wąsami i w fartuchu. Spytał mnie: „No co, jakoś sobie radzisz?" Powiedziałem, że tak i że jestem bardzo głodny. Szybko zjadłem i wypiłem kawę. Potem wróciłem do siebie i zdrzemnąłem się trochę, ponieważ przy obiedzie wypiłem za dużo wina. Po przebudzeniu chciało mi się palić. Było już późno, biegłem, żeby złapać tramwaj. Pracowałem całe popołudnie. W biurze panował wielki upał. Wyszedłszy wieczorem, byłem szczęśliwy, że wracam powoli idąc bulwarem. Niebo było zielone, czułem się zadowolony. Mimo to wróciłem prosto do domu, bo chciałem sobie ugotować kartofli.

Wchodząc potrąciłem na ciemnych schodach starego Salamano, mego sąsiada z piętra. Był ze swym psem. Od ośmiu lat widuje się ich razem. Spaniel ma jakąś chorobę skóry, różę, jak sądzę; stracił prawie całą sierść i pokryty jest plamami i brunatnymi strupami. Na skutek długiego współżycia, sami we dwóch w małym pokoiku, stary Salamano upodobnił się w końcu do niego. Ma czerwonawe strupy na twarzy, włosy żółte i rzadkie. Pies natomiast przejął od pana zgarbioną postawę, pysk podany do przodu, wyciągniętą szyję. Wyglądają na istoty jednej rasy, a przecież nienawidzą się. Dwa razy dziennie, o jedenastej i o szóstej stary wyprowadza psa na spacer. Od ośmiu lat nie zmienili marszruty. Można ich zobaczyć idących ulicą Lyon, pies ciągnie człowieka, dopóki stary Salamano nie potknie się. Wówczas zaczyna bić psa i łajać go. Pies czołga się ze strachu i pozwala się wlec. Teraz stary go ciągnie. Potem pies zapomina, znowu zaczyna wlec swego pana i znowu jest bity i lżony. Wreszcie stają obaj na chodniku i patrzą na siebie - pies ze strachem, człowiek z nienawiścią. Tak jest każdego dnia. Kiedy pies chce się wysiusiać, stary nie daje mu na to czasu, ciągnie go, a spaniel zostawia za sobą strużkę drobnych kropelek. Jeśli pies zrobi przypadkiem w pokoju, znowu jest bity. Trwa to od ośmiu lat. Celestyn mówi zawsze, że to „jest żałosne", ale w gruncie rzeczy nikt nie może tego wiedzieć na pewno. Kiedy go spotkałem na schodach, Salamano byt akurat w trakcie łajania psa. Mówił: „Łajdaku! Ścierwo!", pies skowyczał. Powiedziałem: „Dobry wieczór", ale stary klął dalej. Wówczas zapytałem, co mu pies zrobił. Nie odpowiedział. Mówił wciąż: „Łajdaku! Ścierwo!" Domyślałem się, że stoi pochylony nad psem poprawiając coś przy obroży. Odezwałem się głośniej. Wtedy nie odwracając się odpowiedział z tłumioną wściekłością: „Jeszcze tu sterczy." Potem wyszedł ciągnąc zwierzę, które skowyczało sunąc na czterech łapach.

Akurat w tym momencie wszedł mój drugi sąsiad z klatki schodowej. W dzielnicy

mówi się, że żyje z kobiet. Jednakże zapytany o zawód - jest „magazynierem”. Na ogół nie lubiano go. Ale on często zagaduje do mnie i czasem wstępuje na chwilę, ponieważ słucham go uważnie. Sądzę, że to, co mówi, jest interesujące. Zresztą nie mam żadnego powodu, żeby z nim nie rozmawiać. Nazywa się Rajmund Sintés. Jest niewysoki, barczysty, z nosem boksera. Ubrany zawsze bardzo starannie. On także, mówiąc o Salamano, powiedział: „Czyż to nie jest żałosne!” Spytał, czy to nie budzi we mnie obrzydzenia, odpowiedziałem, że nie.

Weszliśmy na górę i już miałem go pożegnać, kiedy powiedział: „Mam u siebie krwawą kiszkę i wino. Może przekąsi pan ze mną.” Pomyślałem, że uwolni mnie to od gotowania, i zgodziłem się. On także ma tylko jeden pokój i kuchnię bez okna. Nad łóżkiem wisiał białoróżowy stiukowy anioł, zdjęcia sławnych sportsmenów oraz dwie czy trzy fotografie nagich kobiet. Pokój był brudny, łóżko rozgrzebane. Najpierw zapalił naftową lampę, a potem wyjął z kieszeni wątpliwej czystości opatrunek i owinął nim prawą rękę. Spytałem, co mu się przydarzyło. Powiedział, że pobił się z jednym typem, który się go czepiał.

„Pan rozumie, panie Meursault, to nie to, żebym ja był zły, ja jestem prędki. Tamten mi powiedział: <> Powiedziałem mu: <> Odpowiedział, że nie jestem mężczyzną. Więc wysiadłem i powiedziałem: <> Wtedy załadowałem mu cios. Upadł. Zacząłem go podnosić. Ale on kopnął mnie z ziemi parę razy, więc przygniotłem go kolanem i wymierzyłem mu dwa sierpowe. Krew zalała mu twarz. Spytałem, czy ma dość. Powiedział: <>„ Przez cały czas Sintés zakładał opatrunek. Siedziałem na łóżku. Powiedział: „Sam pan widzi, że nie ja go szukałem. To on mi uchybił.” Tak było, przyznałem mu rację. Wtedy oświadczył, że właśnie chciał mnie prosić o radę w tej sprawie, ponieważ jestem mężczyzną, znam życie i mogę mu pomóc, i że potem on zostanie moim kumplem. Nic nie odpowiedziałem, a on znowu spytał, czy chcę być jego kumplem. Powiedziałem, że jest mi wszystko jedno; zrobił zadowoloną minę. Wyciągnął krwawą kiszkę, odgrzał na patelni, postawił szklanki, talerze, nakrycia i dwie butelki wina. Robił to wszystko w milczeniu. Potem usiedliśmy. Jedząc zaczął mi opowiadać swoją historię. Na początku trochę się ociągał. „Znałem pewną panią... to była, jakby tu powiedzieć... moja kochanka.” Człowiek, z którym się pobił, był bratem tej kobiety. Rajmund powiedział mi, że ją utrzymywał. Nie odezwałem się słowem, a jednak dorzucił natychmiast, że wie, co o nim mówią w dzielnicy, ale że ma swoją własną moralność i jest magazynierem.

„Ale wracając do mojej historii - powiedział - zauważyłem, że kryło się w tym jakieś oszukaństwo.” Dawał jej na utrzymanie ściśle tyle, ile trzeba. Sam płacił komorne za pokój i dawał jej dwadzieścia franków dziennie na jedzenie. „Trzysta franków pokój, sześćset jedzenie, od czasu do czasu para pończoch - razem tysiąc franków. I damulka nie pracowała. Ale ona mówiła, że to, co jej daję, starcza zaledwie, by związać koniec z końcem. Mówiłem jej na to: <> Ale ona nie pracowała, ciągle mówiła, że jej nie starcza, i w ten sposób

spostrzegłem, że jest w tym oszukaństwo.”

Opowiedział mi, że znalazł w jej torebce los na loterię, nie potrafiła wyjaśnić, za co go kupiła. Niedługo potem znalazł u niej kwit z lombardu, co stanowiło dowód, że zastawiła dwie bransoletki. Do tego momentu nic nie wiedział o istnieniu tych bransoletek. „Zobaczyłem wyraźnie, że jest w tym jakieś oszukaństwo. Więc rzuciłem ją. Ale przedtem ją sprałem. A potem powiedziałem parę słów prawdy. Powiedziałem, że chodzi jej tylko o to, żeby sobie dogadzać w tych rzeczach. Powiedziałem jej tak, pan mnie rozumie, panie Meursault: <>„

Zbił ją do krwi. Przedtem nie bił jej nigdy. „Czasem ją trzepnąłem, ale, że tak powiem, z czułością. Krzyczała trochę. Zamykałem okiennice i wszystko kończyło się tak jak zawsze. Lecz tym razem - to już było na serio. Ale, moim zdaniem, nie została dostatecznie ukarana.”

I wyjaśnił, że właśnie w związku z tym chciał się poradzić. Przerwał, żeby wyregulować knot od lampy, która kopciła. Przez cały czas słuchałem go. Wypiłem prawie litr wina, czułem gorąco w skroniach. Paliłem papierosy Rajmunda, bo moje już się skończyły. Przejechały ostatnie tramwaje, unosząc ze sobą daleki już teraz gwar przedmieścia. Rajmund ciągnął dalej. Męczyło go, że miał jeszcze słabość do tego stosunku. Lecz chciał ją ukarać. Z początku myślał, żeby ją sprowadzić do hotelu, wywołać skandal i wezwać „obyczajówkę”, żeby jej dali książeczkę. W związku z tym zwrócił się do przyjaciół, których miał w tej branży. Nic nie wywęszyli. Zawsze tak jest, jak się do tego biorą zawodowcy. Powiedział im to, a oni zaproponowali mu, że ją „naznaczą”. Ale nie o to mu chodziło. Musiał się zastanowić. Przedtem chciał mnie o coś zapytać. Lecz nim mnie o to zapyta, ciekaw jest, co sądzę o tej historii. Odpowiedziałem, że nic nie sądzę, ale że to jest ciekawa historia. Spytał, czy myślę, że kryje się w tym jakieś oszukaństwo; tak, myślałem, że kryło się w tym jakieś oszukaństwo; czy sądzę, że należy ją ukarać i co bym zrobił na jego miejscu? Powiedziałem, że tego nigdy nie można przewidzieć, ale rozumiem, że chce ją ukarać. Wypiłem jeszcze trochę wina, a on zapalił papierosa i odkrył mi swój plan: chciał do niej napisać list, który by „dał jej kopniaka, a jednocześnie po którym zaczęłaby żałować”. Potem, biedy ona wróci, prześpi się z nią, a „w końcowym momencie” napluje jej w twarz i wyrzuci za drzwi. Zauważyłem, że w ten sposób zostanie naprawdę ukarana. Ale Rajmund powiedział, że nie potrafi napisać tak, jak trzeba, więc pomyślał o mnie, czy ja bym tego nie zredagował. Ponieważ nie odezwałem się słowem, spytał, czy nie sprawiłoby mi kłopotu napisać ten list zaraz. Odpowiedziałem, że nie.

Znowu wypił szklankę wina i wstał. Odsunął talerze i resztki krwawej kiszki. Wytarł starannie leżącą na stole ceratę. Z szufladki nocnego stolika wyjął kartkę kratkowanego papieru, żółtą kopertę, niewielką obsadkę z czerwonego drzewa oraz kwadratowy kałamarz z fioletowym atramentem. Kiedy powiedział mi nazwisko tej kobiety, zrozumiałem, że jest Mauretanką. Napisałem list. Robiłem to trochę na chybił trafił, ale pilnie starałem się, żeby

Rajmund był zadowolony, ponieważ nie miałem żadnego powodu, żeby mu nie sprawić satysfakcji. Potem odczytałem list na głos. Słuchał paląc i kiwając głową. Po czym poprosił, żebym przeczytał raz jeszcze. Był bardzo zadowolony. Powiedział: „Wiedziałem, że znasz życie.” Zrazu nie zauważyłem, że mówi mi ty. Uderzyło mnie to dopiero, kiedy oświadczył: „Teraz jesteś prawdziwym kumplem.” Powtórzył to zdanie, a ja powiedziałem: „Tak.” Było mi zupełnie wszystko jedno, czy będę jego kumplem, czy nie, ale on sprawiał wrażenie, jakby mu rzeczywiście na tym zależało. Zakleił kopertę i wypiliśmy resztę wina. Potem przez jakiś czas paliliśmy w milczeniu. Na dworze panowała cisza - usłyszeliśmy, jak sunie przejeżdżające auto. Powiedziałem: „Jest już późno.” Rajmund był tego samego zdania. Powiedział, że czas mija szybko, i w pewnym sensie to była prawda. Byłem senny, ale nie chciało mi się wstać. Musiałem wyglądać na zmęczonego, bo Rajmund powiedział, że nie trzeba się poddawać. Z początku nie zrozumiałem go. Wyjaśnił więc, że wie o śmierci mamy, ale że taka rzecz musi się zdarzyć, nie dziś to jutro. Ja również tak sądziłem.

Podniosłem się. Rajmund uścisnął mi rękę bardzo mocno i powiedział, że mężczyźni zawsze się z sobą porozumieją. Wyszedłszy od niego zamknąłem za sobą drzwi i stałem przez chwilę w ciemnościach, na korytarzu. Dom był cichy, z głębi klatki schodowej unosił się ku górze wilgotny, mroczny podmuch. Słyszałem tylko uderzenia własnej krwi, która tętniła mi w uszach. Stałem bez ruchu. Lecz pies w pokoju starego Salamano zaskowyczał głucho.

Dużo pracowałem przez cały tydzień. Rajmund zaszedł do mnie i powiedział, że wysłał list. Byłem dwa razy w kinie z Emanuelem, który nie zawsze rozumie, co się dzieje na ekranie. Trzeba mu więc tłumaczyć. Wczoraj była sobota, przyszła Maria, tak jakżeśmy się umówili. Bardzo jej pragnąłem, ponieważ była w pięknej sukience w biało-czerwone paski i w sandałkach ze skóry. Czuło się jej twarde piersi, a opalona twarz była jak kwiat. Pojechaliśmy autobusem kilka kilometrów za Algier, na wąską plażę wciśniętą między skały i obrzeżoną trzciną od strony lądu. Popołudniowe słońce już nie przypiekało, ale woda była ciepła, a niewielkie fale długie i leniwe. Maria nauczyła mnie pewnej zabawy. Płynąc trzeba było zaczerpnąć wody z grzebienia fali, zatrzymać w ustach, odwrócić się na plecy i wydmuchać do góry. Powstawała wówczas jak gdyby musująca koronka, która nikła w powietrzu lub spadała na twarz ciepłym deszczem. Po jakimś czasie poczułem jednak, że mam usta spalone solą. Wówczas Maria przypłynęła i przytuliła się do mnie w wodzie. Przycisnęła swoje usta do moich. Jej język chłodził mi wargi, przez chwilę daliśmy się unosić falom.

Kiedy ubieraliśmy się na plaży, Maria patrzyła na mnie roziskrzonymi oczami. Pocałowałem ją. Od tego momentu nie odezwaliśmy się już do siebie ani słowem. Objąłem ją i przycisnąłem do siebie, spieszyliśmy się, by jak najprędzej wsiąść do autobusu, wrócić do miasta, pójść do mnie i rzucić się na łóżko. Zostawiłem otwarte okno, przyjemnie było czuć, jak letnia noc spływa po naszych brunatnych ciałach.

Tego ranka Maria została u mnie, powiedziałem, że razem zjemy obiad. Zszedłem na dół, żeby kupić mięso. Wchodząc z powrotem po schodach usłyszałem kobiecy głos w pokoju Rajmunda. Nieco później stary Salamano beształ psa, usłyszeliśmy szuranie podeszew i pazurów po drewnianych stopniach schodów a potem: „Ścierwo, łajdaku"; wyszli na ulicę. Opowiedziałem Marii historię starego, śmiała się. Miała na sobie jedną z moich pidżam, podwinęła nieco jej rękawy. Kiedy się śmiała, znów jej zapragnąłem. W chwilę potem spytała, czy ją kocham. Odpowiedziałem, że to nie ma żadnego znaczenia, ale sądzę, że nie. Zrobiła smutną minę. Jednak przygotowując obiad zaczęła znowu, bez żadnego powodu, śmiać się w taki sposób, że ją uściskałem. Właśnie w tym momencie w pokoju Rajmunda wybuchła głośna sprzeczka.

Usłyszeliśmy najpierw krzykliwy głos kobiety, a potem Rajmunda, który mówił: „Obraziłaś mnie, obraziłaś mnie, ja cię nauczę mnie obrażać." Kilka głuchych uderzeń i kobieta zaczęła wyć tak okropnie, że schody natychmiast zapełniły się ludźmi. Kobieta ciągle krzyczała, a Rajmund ciągle walił. Maria powiedziała, że to jest straszne, nic nie odpowiedziałem. Poprosiła, żebym poszedł po policjanta, powiedziałem, że nie lubię policjantów. Jednak przyszedł jeden z nich, sprowadzony przez lokatora z drugiego piętra, który był hydraulikiem. Zastukał do drzwi i wszystko ucichło. Zastukał mocniej, po chwili kobieta zaczęła płakać, Rajmund otworzył. Miał w ustach papierosa, zrobił niewinną minę. Dziewczyna rzuciła się do drzwi i oświadczyła policjantowi, że Rajmund ją pobił. „Twoje nazwisko?" - spytał policjant. Rajmund powiedział. „Wyjmij papierosa z ust, jak do mnie mówisz" - zawołał policjant. Rajmund zawahał się, spojrzał na mnie i zaciągnął się papierosem. W tym momencie policjant z całych sił uderzył go w twarz mocno i ciężko. Papieros upadł parę metrów dalej. Rajmund zmienił się na twarzy, ale na razie nie odpowiedział, a po chwili spytał pokornym głosem, czy może podnieść niedopałek. Policjant oświadczył, że może, i dorzucił: „A na drugi raz będziesz wiedział, że policjant nie jest malowaną lalą." Dziewczyna płakała przez cały czas i powtarzała w kółko: „Pobił mnie. To alfons." - „Proszę pana - zapytał Rajmund - czy to jest zgodne z prawem nazywać człowieka alfonsem?" Ale policjant kazał mu „zamknąć mordę". Wtedy Rajmund odwrócił się do dziewczyny i powiedział: „Poczekaj, mała, jeszcze się spotkamy." Policjant poradził mu, żeby już z tym skończył, dziewczyna może odejść, a on niech zostanie w pokoju i czeka, aż go wezwą do komisariatu. Dodał jeszcze, że Rajmund powinien się wstydzić - upił się do tego stopnia, że aż cały dygoce. W tym momencie Rajmund wyjaśnił: „Nie jestem pijany, panie policjancie. Ale ponieważ stoję przed panem, więc dygocę, to jest silniejsze ode mnie." Zamknął drzwi i wszyscy się rozeszli. Maria i ja skończyliśmy przygotowywać obiad. Nie miała apetytu, zjadłem prawie wszystko sam. Wyszła o pierwszej, a ja zdrzemnąłem się trochę.

O trzeciej ktoś zapukał do drzwi i wszedł Rajmund. Leżałem nadal. Usiadł na brzegu

łóżka. Chwilę milczał, spytałem, jak potoczyła się jego sprawa. Opowiedział, że zrobił to, co chciał, ale że ona dała mu w twarz, więc wtedy ją zbił. Resztę sam widziałem. Odrzekłem, że prawdopodobnie została już teraz ukarana, powinien więc być zadowolony. On również był tego zdania i zauważył, że mimo interwencji policjanta nic nie zmieni faktu, że dostała za swoje. Dodał, że dobrze zna policjantów i wie, jak się do nich zabierać. Po czym spytał, czy spodziewałem się, że on odpowie na policzek wymierzony mu przez policjanta. Odparłem, że nie spodziewałem się niczego, a poza tym nie lubię policjantów. Rajmund miał bardzo zadowoloną minę. Spytał, czy chciałbym z nim wyjść. Wstałem i zacząłem się czesać. Powiedział, że trzeba, żebym był jego świadkiem. Dla mnie to nie miało znaczenia, nie wiedziałem tylko, co powinienem powiedzieć. Zdaniem Rajmunda, wystarczyło stwierdzić, że dziewczyna go obraziła. Zgodziłem się zostać jego świadkiem.

Wyszliśmy i Rajmund postawił mi koniak. Potem chciał zagrać partię bilardu, przegrałem zasłużenie. Następnie miał ochotę pójść do burdelu, ale ja sprzeciwiłem się, ponieważ nie lubię tego. Wróciliśmy więc powoli do domu, mówił mi, jak bardzo jest zadowolony z tego, że ukarał swą kochankę. Był dla mnie bardzo miły i pomyślałem, że spędziliśmy przyjemne chwile.

Z daleka dostrzegłem na progu sieni starego Salamano, wyglądał jakoś niespokojnie. Kiedyśmy się zbliżyli, zobaczyłem, że nie było przy nim psa. Rozglądał się na wszystkie strony, obracał wkoło, wpatrywał się w sień, starając się przeniknąć jej ciemność, mamrotał słowa bez związku i od nowa przeszukiwał ulice swymi małymi czerwonymi oczkami. Kiedy Rajmund spytał go, co się stało, nie od razu odpowiedział. Posłyszałem, jak szeptał: „Łajdak, ścierwo", i znowu zaczął się miotać. Spytałem, gdzie jest pies. Odpowiedział szorstko, że uciekł. A potem nagle zaczął mówić płynnie i szybko: „Zaprowadziłem go, jak zawsze, na Pole Ćwiczeń. Wokół bud jarmarcznych było dużo ludzi. Zatrzymałem się, żeby obejrzeć Le Roi de l'evasion. A kiedy miałem wracać, już go nie było. Oczywiście, od dawna chciałem mu kupić mniejszą obrożę. Ale nigdy bym nie uwierzył, że to ścierwo może uciec w ten sposób."

Wtedy Rajmund zaczął mu tłumaczyć, że pies mógł się tylko zabłąkać i wróci. Zaczął przytaczać historie o psach, które przebiegały tysiące kilometrów, by odnaleźć swego pana. Mimo to stary robił wrażenie coraz bardziej zdenerwowanego. „Ale zabiorą mi go, rozumiecie. Gdyby go choć jeszcze ktoś przygarnął! Ale to jest niemożliwe, u wszystkich budzi wstręt tymi strupami. Zabiorą go policjanci, to pewne." Powiedziałem mu więc, że powinien pójść do hycla, zwrócą mu go po uiszczeniu pewnych opłat. Spytał, czy te opłaty są wysokie. Nie wiedziałem. Wówczas wpadł w złość. „Płacić pieniądze za to ścierwo. Niech go szlag trafi." I zaczął kląć. Rajmund zaśmiał się i zniknął w sieni. Poszedłem za nim, pożegnaliśmy się na podeście naszego piętra. W chwilę potem usłyszałem kroki starego, zapukał do moich drzwi. Kiedy otworzyłem, zatrzymał się chwilę na progu, a potem

powiedział: „Niech mi pan daruje, niech mi pan daruje.” Poprosiłem, żeby wszedł, nie chciał. Wpatrywał się w czubki swych butów, jego pokryte strupami dłonie drżały. Nie patrząc na mnie spytał: „Nie mogą mi go zabrać, niech pan powie, panie Meursault. Zwrócą mi go. Bo co by się ze mną stało?” Powiedziałem mu, że hycel przez trzy dni trzyma psy do dyspozycji ich właścicieli, a potem może robić z nimi, co mu się tylko podoba. Spojrzał na mnie w milczeniu. Potem powiedział: „Dobranoc.” Zamknął drzwi do swego pokoju; słyszałem, jak chodzi tam i z powrotem. Zatrzeszczało łóżko. Przez przepierzenie przeniknęły ciche, dziwaczne odgłosy, zrozumiałem, że płacze. Nie wiem dlaczego, pomyślałem o mamie. Ale jutro musiałem wcześnie wstać. Nie byłem głodny, położyłem się spać bez kolacji.

Rajmund zatelefonował do biura. Powiedział mi, że jeden z jego przyjaciół (opowiadał mu o mnie) zaprasza mnie na niedzielę do swego domku pod Algierem. Odpowiedziałem, że pojechałbym z ochotą, ale przyrzekłem mojej przyjaciółce, że spędzimy ten dzień razem. Rajmund powiedział natychmiast, że zaprasza ją również. Żona jego przyjaciela bardzo się ucieszy, że nie będzie sama jedna w męskim towarzystwie.

Chciałem od razu przerwać tę rozmowę, ponieważ wiem, że szef nie lubi, kiedy do nas telefonują z miasta. Ale Rajmund prosił, żebym go wysłuchał, powiedział, że to zaproszenie mógłby mi przekazać wieczorem, chciał jednak zawiadomić mnie o innej sprawie. Przez cały dzień chodziła za nim grupa Arabów, wśród których był brat jego dawnej kochanki. „Jeśli zobaczysz go koło domu, wracając wieczorem, ostrzeż mnie.” Powiedziałem, że naturalnie, zrobię to.

Niedługo potem zawezwał mnie szef, zrazu zdenerwowałem się, ponieważ sądziłem, że powie mi, żebym mniej telefonował, a więcej pracował. Ale to wcale nie chodziło o to. Oświadczył, że chce ze mną porozmawiać e pewnym, bardzo jeszcze luźnym, projekcie. Ciekaw był mego poglądu na tę sprawę. Miał zamiar założyć w Paryżu biuro, które by bezpośrednio na miejscu załatwiało interesy z wielkimi firmami, i chciał wiedzieć, czy ja byłbym skłonny tam pojechać. To pozwoliłoby mi zamieszkać w Paryżu, a jednocześnie podróżować przez pewną część roku. „Pan jest młody i sądzę, że taki tryb życia powinien się panu spodobać.” Powiedziałem, że tak, ale że w gruncie rzeczy jest mi wszystko jedno. Spytał mnie wówczas, czy nie interesowałaby mnie odmiana życia. Odpowiedziałem, że życia nie zmienia się nigdy i że, tak czy inaczej, każde ma tę samą wartość, a moje życie tutaj odpowiada mi zupełnie. Miał niezadowoloną minę, powiedział, że nigdy nie odpowiadam wprost, że nie posiadam ambicji i że to jest fatalne w interesach. Wróciłem do pracy. Oczywiście wolałbym nie ściągać jego niezadowolenia, ale nie rozumiem, z jakiej racji miałbym odmieniać swoje życie. Zastanowiwszy się dobrze, wcale nie jestem nieszczęśliwy. Kiedy byłem studentem, miałem dużo tego rodzaju ambicji. Ale kiedy musiałem zrezygnować ze studiów, bardzo szybko zrozumiałem, że te rzeczy nie mają prawdziwego znaczenia.

Tego wieczoru przyszła po mnie Maria i spytała, czy chcę się z nią ożenić. Powiedziałem, że mnie jest wszystko jedno, ale że możemy się pobrać, jeśli ona chce tego. Wobec tego chciała wiedzieć, czy ją kocham. Odpowiedziałem jej to samo, co już raz kiedyś mówiłem, że to nie ma żadnego znaczenia, ale że na pewno nie kocham jej. „Dlaczego więc chcesz się ze mną ożenić?” - powiedziała. Wyjaśniłem jej, że to nie jest ważne i jeśli ona tego pragnie, to możemy się pobrać. A zresztą, to ona sobie tego życzy, ja ograniczam się tylko do powiedzenia: „Tak”. Wówczas zauważyła, że małżeństwo jest rzeczą poważną. Odpowiedziałem: „Nie.” Umilkła na chwilę i spoglądała na mnie w ciszy. Potem zaczęła mówić. Chciała po prostu wiedzieć, czy przyjąłbym taką propozycję od innej kobiety, z którą łączyłoby mnie to samo co z nią. Powiedziałem: „Oczywiście.” Wtedy głośno zastanowiła się, czy mnie kocha; co do mnie, nie mogłem na ten temat nic wiedzieć. Po chwili milczenia, które znów zapadło, szepnęła, że jestem dziwny i że pewno dlatego mnie kocha, ale być może pewnego dnia zacznę budzić w niej wstręt, z tych samych powodów. Ponieważ milczałem, nie mając nic do dodania, ujęła mnie, śmiejąc się, pod rękę i oświadczyła, że chce wyjść za mnie za mąż. Odpowiedziałem, że pobierzemy się, kiedy tylko zechce. Po czym opowiedziałem jej o propozycji szefa, a Maria oświadczyła, że chciałaby poznać Paryż. Dowiedziała się wówczas ode mnie, że mieszkałem tam przez jakiś czas, i spytała, jak tam jest. Powiedziałem: „Jest brudno. Są gołębie i ciemne podwórza. Ludzie mają białą skórę.”

Potem spacerując przeszliśmy przez główne ulice miasta. Kobiety były piękne, spytałem Marii, czy to dostrzega. Powiedziała, że tak i że mnie rozumie. Po czym rozmowa urwała się na moment. Jednak chciałem, żeby ze mną została, i powiedziałem jej, że moglibyśmy zjeść razem obiad u Celestyna. Miała na to wielką ochotę, ale miała coś do roboty. Byliśmy już koło mego domu, powiedziałem jej: „Do widzenia.” Przyjrzała mi się: „Nie chcesz wiedzieć, co mam do roboty?” Bardzo chciałem wiedzieć, ale nie pomyślałem o tym, i pewnie dlatego miała minę pełną wyrzutu. Widząc jednak moje zakłopotanie, zaśmiała się znowu i przysunęła się ku mnie całym ciałem, żeby mi podać usta.

Poszedłem na obiad do Celestyna. Już zacząłem jeść, kiedy weszła niska, dziwna kobieta; spytała, czy może usiąść przy moim stole. Zgodziłem się oczywiście. Miała szybkie, porywcze ruchy i błyszczące oczy w twarzy małej, podobnej do jabłka. Zrzuciła żakiet, usiadła i zaczęła gorączkowo studiować kartę. Zawołała Celestyna, po czym głosem zwięzłym i śpiesznym zamówiła od razu wszystkie dania. Oczekując na przystawkę, otworzyła torebkę, wyjęła z niej kartkę papieru i ołówek, zrobiła z góry rachunek, wyciągnęła z kieszonki pieniądze, odliczyła akurat tyle, ile się należało, włączywszy napiwek, i położyła je przed sobą. W tym momencie przyniesiono przystawkę, którą pochłonęła w mgnieniu oka. Czekając na następne danie znowu wyciągnęła z torebki niebieski ołówek i magazyn z tygodniowym programem radia. Zakreślała bardzo starannie, jedną po drugiej, prawie wszystkie audycje. Ponieważ magazyn miał prawie dwanaście stron, skrupulatnie

wykonywała tę czynność w trakcie całego posiłku. Skończyłem już jeść, a ona ciągle jeszcze zakreślała, tak samo pilnie. Potem wstała, włożyła żakiet tym samym dokładnym ruchem automatu i wyszła. Ponieważ nie miałem nic do roboty, wstałem również i poszedłem za nią. Uplasowała się na skraju chodnika i sunęła naprzód niewiarygodnie szybko i pewnie, nie odwracając się ani nie zbaczając. W końcu straciłem ją z oczu i zawróciłem. Pomyślałem, że była dziwna, ale szybko o niej zapomniałem.

Przed mymi drzwiami znalazłem starego Salamano. Wpuściłem go do środka, powiadomił mnie, że jego pies jest stracony, ponieważ nie ma go u hycla. Funkcjonariusze powiedzieli mu, że być może został przejechany. Spytał, czy nie można by się dowiedzieć o tym w komisariacie. Wyjaśnili, że tam nie notują tego typu wypadków, ponieważ zdarzają się każdego dnia. Powiedziałem staremu, że mógłby wziąć innego psa, ale on słusznie zauważył, że był przywiązany do tego, który zginął.

Przycupnąłem na łóżku, a Salamano usiadł na krześle przy stole. Był zwrócony twarzą ku mnie, ręce trzymał na kolanach. Nie zdjął swego starego kapelusza. Mamrotał jakieś urywki zdań pod pożółkłymi wąsami. Nudził mnie trochę, ale nie miałem nic do roboty i nie chciało mi się spać. Żeby więc coś powiedzieć, zacząłem go rozpytywać o psa. Powiedział, że wziął go po śmierci żony. Ożenił się dość późno. Za młodu miał ochotę wstąpić do teatru: w pułku grywał w wojskowych wodewilach. Ale w końcu zaczął pracować na kolei i nie żałuje tego, ponieważ ma teraz małą emeryturę. Nie był szczęśliwy z żoną, ale, ogólnie biorąc, bardzo się do niej przywiązał. Kiedy umarła, poczuł się bardzo samotny. Wtedy poprosił przyjaciela z warsztatu, żeby mu dał pieska, to był właśnie ten, bardzo młodziutki. Trzeba go było karmić butelką ze smoczkiem. Ale ponieważ pies żyje krócej niż człowiek, skończyło się na tym, że obaj byli starzy. „Miał zły charakter - powiedział Salamano. - Od czasu do czasu dochodziło do awantur. A jednak to był dobry pies." Powiedziałem, że był ładnej rasy. Salamano ucieszył się. „A przecież pan go nie znał przed chorobą. Najładniejszą miał właśnie sierść." Każdego wieczoru i każdego ranka, odkąd pies dostał tej choroby skóry, Salamano nacierał go maścią. Ale uważał, że jego prawdziwą chorobą była starość, a ze starości nie można wyleczyć.

W tym momencie ziewnąłem i stary oznajmił, że już wychodzi. Powiedziałem, że może zostać, że zmartwiło mnie to, co stało się z jego psem: podziękował mi. Powiedział, że mama bardzo lubiła jego psa. Mówiąc o niej nazywał ją: „Pańska biedna matka." Wyraził przypuszczenie, że muszę być bardzo nieszczęśliwy, odkąd mama umarła; nie odezwałem się. Powiedział więc szybko i zmieszany, iż wie, że w dzielnicy fałszywie mnie osądzono, ponieważ oddałem matkę do przytułku, ale on mnie zna i wie, że bardzo kochałem mamę. Odpowiedziałem, sam nie wiem dlaczego, że dotychczas nie wiedziałem, iż źle mnie sądzono z tego powodu; przytułek wydawał mi się rzeczą naturalną, ponieważ nie miałem dosyć pieniędzy, żeby zapewnić mamie opiekę. „Zresztą - dodałem - już od dawna nie miała mi nic

do powiedzenia i nudziła się będąc zupełnie sama.” „Tak - powiedział - a w przytułku przynajmniej zawiera się przyjaźnie.” Potem zaczął się tłumaczyć. Chciał iść spać. Jego życie zmieniło się obecnie i nie bardzo wiedział, co z sobą począć. Pierwszy raz, odkąd go znałem, jakby ukradkiem wyciągnął do mnie rękę. Poczułem strupy na jego skórze. Uśmiechnął się lekko i wychodząc powiedział: „Mam nadzieję, że psy nie będą szczekały tej nocy. Zawsze myślę, że to mój.”

W niedzielę z trudem się obudziłem, Maria musiała mną potrząsać i wołać na mnie. Ponieważ chcieliśmy się jak najwcześniej wykąpać, nie zjedliśmy śniadania. Czułem się całkiem pusty i trochę bolała mnie głowa. Papieros miał gorzki smak. Maria kpiła ze mnie i powiedziała, że mam „grobową minę”. Włożyła sukienkę z białego płótna i rozpuściła włosy. Powiedziałem jej, że jest piękna, roześmiała się z zadowoleniem.

Schodząc zastukaliśmy do drzwi Rajmunda. Odpowiedział, że zaraz zejdzie. Na ulicy wskutek zmęczenia, a również i dlatego że nie odsłoniliśmy rolet, dzień pełen już słońca spadł na mnie jak uderzenie w twarz. Maria skakała z radości i mówiła bez przerwy, jak jest pięknie. Poczułem się lepiej i stwierdziłem, że jestem głodny. Powiedziałem o tym Marii, pokazała mi swą ceratową torbę, włożyła do niej nasze kostiumy kąpielowe i ręcznik. Pozostało mi więc tylko czekać; usłyszeliśmy, jak Rajmund zamyka drzwi. Miał granatowe spodnie i białą koszulę z krótkimi rękawami. Ale włożył także słomkowy kapelusz, co rozśmieszyło Marię. Jego ramiona były bardzo białe i pokryte czarnymi włoskami. Budziło to we mnie lekki wstręt. Gwizdał schodząc i wyglądał na bardzo zadowolonego. Powiedział: „Cześć stary”, a do niej zwrócił się: „Panno Mario.”

Poprzedniego dnia byliśmy w komisariacie, gdzie zaświadczyłem, że dziewczyna „ubliżyła” Rajmundowi. Został zwolniony z upomnieniem. Nie sprawdzono moich zeznań. Teraz, przed drzwiami, porozmawialiśmy o tym z Rajmundem, potem postanowiliśmy jechać autobusem. Plaża nie była daleko, ale autobusem zajedziemy prędzej. Rajmund przypuszczał, że jego znajomi będą radzi z naszego wczesnego przyjazdu. Mieliśmy już pójść, kiedy nagle Rajmund dał mi znak, żebym spojrzał przed siebie. Zobaczyłem grupę Arabów, stali wsparci plecami o witrynę sklepu z tytoniem. Patrzyli na nas w milczeniu, po swojemu, zupełnie jakbyśmy byli kamieniami lub uschniętymi drzewami. Rajmund, wyraźnie zakłopotany, powiedział, że ten drugi od 1ewej to jego facet. Dodał, że przecież teraz to już skończona sprawa. Maria nie bardzo mogła się zorientować i spytała, o co chodzi. Powiedziałem jej, że to są Arabi, którzy mają coś do Rajmunda. Chciała, żebyśmy natychmiast odeszli. Rajmund zachował twarz i powiedział ze śmiechem, że trzeba się spieszyć.

Poszliśmy w kierunku przystanku autobusowego, który był trochę dalej, i Rajmund oznajmił, że Arabowie nie idą za nami. Odwróciłem się, stali tam gdzie przedtem i patrzyli tak samo obojętnie na miejsce, z któregośmy odeszli. Wsiedliśmy do autobusu, Rajmund, któremu zapewne bardzo ulżyło, nie przestawał żartować z Marią. Czułem, że mu się podoba,

lecz ona nie odpowiadała mu prawie. Od czasu do czasu spoglądała na niego śmiejąc się.

Wysiedliśmy na przedmieściu Algieru. Plaża była niedaleko przystanku autobusowego. Trzeba było jednak minąć małe płaskowzgórze, które wznosiło się nad morzem opadając ku plaży. Pokrywały je żółtawe kamienie i złotogłów, całkiem biały na tle mocnego już błękitu nieba. Maria strząsała płatki uderzeniami swej ceratowej torby; bawiło ją to. Szliśmy wśród rzędów małych domków o zielonych lub białych parkanach, niektóre z nich kryły się wraz z werandami pod tamaryszkiem, inne stały nagie wśród skał. Nim doszło się do skraju płaskowzgórza, widać już było nieruchome morze, a dalej przylądek ospały i masywny pośród przejrzystej wody. Stłumiony odgłos motoru przypłynął aż ku nam, spokojnym, cichym powietrzem. Zobaczyliśmy, bardzo daleko, rybacką łódź; sunęła niedostrzegalnie po lśniącym morzu. Maria zerwała kilka skalnych irysów. Ze stoku, który schodził ku morzu, dostrzegliśmy, że kilka osób już się kąpie.

Przyjaciel Rajmunda mieszkał w małym drewnianym domku na skraju plaży. Domek stał przywarty do skały, a podpierające go na przodzie słupy zanurzały się w wodzie. Rajmund przedstawił nas. Jego przyjaciel nazywał się Masson. To był ogromny facet; szeroki w pasie i barach, miał małą, okrąglutką żonę, o paryskim akcencie. Od razu powiedział, żebyśmy się czuli jak u siebie i że ma smażoną rybę, którą akurat złowił dziś rano. Powiedziałem mu, jak ogromnie podoba mi się jego domek. Oświadczył, że spędza tu sobotę, niedzielę i każdy wolny dzień. „Z moją żoną żyjemy zgodnie" - dodał. Właśnie w tej chwili śmiała się z Marią. Być może po raz pierwszy pomyślałem poważnie, że mam się ożenić.

Masson chciał się kąpać, ale jego żona i Rajmund nie chcieli iść. Zeszliśmy więc we trójkę. Maria rzuciła się natychmiast do wody. Masson i ja zwlekaliśmy z tym trochę. Mówił powoli i zauważyłem, że miał zwyczaj uzupełniania wszystkiego, cokolwiek stwierdzał, słowami „i powiem więcej", nawet wtedy, jeśli nie zmieniało to w istocie sensu zdania. O Marii powiedział: „Jest czarująca i, powiem więcej, urocza." Później przestałem zwracać uwagę na ten jego nawyk, ponieważ pochłonęła mnie radość, jaką sprawiało mi słońce. Piasek zaczynał palić pod stopami, odwlekałem ochotę, jaką miałem na kąpiel; lecz w końcu powiedziałem do Massona: „Pójdziemy?" Dałem nurka. On wchodził powoli i zanurzył się dopiero w momencie, gdy stracił dno. Płynął na brzuchu niezbyt dobrze, musiałem go zostawić, by dogonić Marię. Woda była zimna i pływanie sprawiało mi przyjemność. Oddaliliśmy się we dwójkę, czując zgodność naszych ruchów i naszej radości.

Na pełnym morzu położyliśmy się na wznak, słońce zgarniało z mojej twarzy, zwróconej ku niebu, ostatnie welony wody, która ściekała mi do ust. Zobaczyliśmy, że Masson wrócił na plażę, żeby wyciągnąć się na słońcu. Z daleka wydawał się olbrzymi. Maria chciała, żebyśmy popłynęli razem. Przesunąłem się do tyłu i objąłem ją wpół, posuwała się ruchem ramion, pomagałem jej bijąc nogami. Drobny szmer rozbijanej wody sunął za nami tego ranka aż do momentu, kiedy poczułem się zmęczony. Wtedy puściłem Marię i

zawróciłem, płynąłem miarowo, głęboko oddychając. Na plaży rozciągnąłem się na brzuchu obok Massona, twarz ukryłem w piasku. Powiedziałem mu, że „dobrze było"; był tego samego zdania. Niedługo potem przyszła Maria. Odwróciłem się, żeby na nią popatrzeć, kiedy nadchodziła. Była cała oblepiona słoną wodą, włosy odrzuciła do tyłu. Wyciągnęła się u mego boku, ramię przy ramieniu, żar jej ciała i żar słońca wprawiły mnie w małą drzemkę.

Maria potrząsnęła mną i powiedziała, że Masson wrócił już do domu, trzeba iść na obiad. Natychmiast się podniosłem, bo byłem głodny, ale Maria powiedziała, że od rana nie pocałowałem jej ani razu. To prawda, a przecież miałem na to ochotę. „Chodź do wody" - powiedziała. Pobiegliśmy; uniosły nas pierwsze małe fale. Odpłynęliśmy kawałek, przywarła do mnie. Czułem jej nogi splecione z moimi i zapragnąłem jej.

Kiedy wróciliśmy, Masson już nas wołał. Powiedziałem, że jestem bardzo głodny, a on zaraz oświadczył żonie, że mu się spodobałem. Chleb był smaczny, zjadłem szybko swoją porcję ryby. Potem było mięso z frytkami. Jedliśmy wszyscy w milczeniu. Masson często popijał wino i dolewał mi bez przerwy. Przy kawie trochę ciążyła mi głowa i dużo paliłem. Masson, Rajmund i ja rozważaliśmy, czyby nie spędzić sierpnia na plaży, prowadząc wspólne gospodarstwo. Nagle Maria powiedziała: „Czy wiecie, która godzina? Jest wpół do dwunastej." Byliśmy zdumieni, ale Masson odezwał się, że zjedliśmy obiad bardzo wcześnie, i to jest zrozumiałe, bo godzina posiłku to ta godzina, kiedy jest się głodnym. Nie wiem dlaczego, to tak bardzo rozśmieszyło Marię. Sądzę, że trochę za dużo wypiła. Potem Masson spytał mnie, czy chcę się z nim przejść po plaży. „Moja żona zawsze odpoczywa po obiedzie. Ja tego nie lubię. Muszę pospacerować. Zawsze jej mówię, że to lepsze dla zdrowia. Ale, mimo wszystko, to jej rzecz." Maria oświadczyła, że zostanie, aby pomóc pani Masson w zmywaniu. Mała paryżaneczka powiedziała, że do tego trzeba wypędzić mężczyzn z domu. Wyszliśmy wszyscy trzej.

Słońce padało na piasek prawie pionowo, jego odblask na morzu był nie do zniesienia. Na plaży nie było już nikogo. Na skraju płaskowzgórza, w domkach zwisających nad morzem, słychać było brzęk talerzy i sztućców. Trudno było oddychać wśród żaru bijącego z ziemi pokrytej rozpalonymi kamieniami. Na początku Rajmund i Masson rozmawiali o sprawach i ludziach, których nie znałem. Zrozumiałem, że znali się od dawna i że nawet w pewnym okresie razem mieszkali. Skierowaliśmy się ku wodzie i szliśmy wzdłuż morza. Kilkakrotnie mała fala, dłuższa od innych, podpływała i moczyła nam płócienne pantofle. Nie myślałem o niczym, ponieważ słońce nad moją odkrytą głową na wpół mnie uśpiło.

W tym momencie Rajmund powiedział do Massona coś, czego nie dosłyszałem. Równocześnie zobaczyłem na samym końcu plaży, bardzo daleko od nas, dwóch Arabów w kombinezonach, którzy szli w naszą stronę. Spojrzałem na Rajmunda, powiedział: „To on." Szliśmy dalej. Masson spytał, jak oni mogli przyjść za nami aż tu. Pomyślałem, że mogli nas widzieć, jak wsiadaliśmy do autobusu z plażową torbą, ale nic nie powiedziałem.

Arabowie posuwali się z wolna, byli teraz już znacznie bliżej. Nie zwolniliśmy tempa, ale Rajmund powiedział: „Jeśli będzie awantura, ty, Masson, bierz tego drugiego. Ja zajmę się moim facetem. Jeśli nadejdzie jeszcze jeden, będzie dla ciebie, Meursault.” Powiedziałem: „Tak”, a Masson włożył ręce do kieszeni. Rozgrzany piasek wydawał mi się teraz czerwony. Równym krokiem zbliżaliśmy się do Arabów. Dystans między nami zmniejszał się regularnie. Kiedy byliśmy o parę kroków jedni od drugich. Arabowie stanęli. Masson i ja zwolniliśmy kroku. Rajmund szedł prosto na swego faceta. Nie dosłyszałem, co mu powiedział, ale wydało mi się, że tamten zrobił ruch, jakby go chciał uderzyć głową. Wtedy Rajmund uderzył po raz pierwszy i zaraz zawołał Massona. Masson zbliżył się do tego, którego mu wyznaczono, i uderzył go dwukrotnie, z całych sił. Arab rozpłaszczył się w wodzie, twarzą do dna, leżał tak przez parę sekund, wokół jego głowy wypływały na powierzchnię bąbelki powietrza. Przez ten czas Rajmund także wymierzył cios i ten drugi miał twarz we krwi. Rajmund odwrócił się do mnie i powiedział: „Zobaczysz, jak go urządzę.” Krzyknąłem: „Uwaga, on ma nóż”, ale Rajmund miał już rozpłatane ramię i pokiereszowane usta.

Masson skoczył naprzód. Ale drugi Arab już się podniósł i stanął za tamtym, uzbrojonym. Nie śmieliśmy się poruszyć. Cofali się powoli, nie spuszczając z nas wzroku i trzymając nas na dystans tym nożem. Kiedy zobaczyli, że odległość jest już wystarczająca, zaczęli bardzo szybko uciekać, podczas gdy my staliśmy w słońcu jak przygwożdżeni, Rajmund ściskał ramię ociekające krwią.

Masson od razu powiedział, że jest doktor, który spędza tutaj każdą niedzielę. Rajmund chciał iść do niego natychmiast. Ale jak tylko zaczynał mówić, krew z rany tworzyła mu w ustach bąbelki. Podtrzymując go wróciliśmy do domu, najszybciej jak było można. Tam Rajmund powiedział, że jego rany są powierzchowne i że zdoła dojść do doktora. Wyszli z Massonem, a ja zostałem, żeby wyjaśnić kobietom, co zaszło. Pani Masson płakała, a Maria była bardzo blada. Mnie osobiście było przykro im to wyjaśniać. W końcu umilkłem i paliłem papierosa patrząc na morze.

O wpół do drugiej wrócił Rajmund razem z Massonem. Miał obandażowane ramię i plaster w kąciku ust. Doktor powiedział mu, że to drobiazg, ale Rajmund był bardzo ponury. Masson usiłował go rozśmieszyć. Ale on dalej nie odzywał się. Kiedy powiedział, że schodzi na plażę, spytałem go, dokąd chce iść. Odpowiedział, że chce zaczerpnąć powietrza. Masson i ja powiedzieliśmy, że pójdziemy z nim razem. Wtedy rozzłościł się i zwymyślał nas. Masson uznał, że nie trzeba mu się sprzeciwiać. Ale ja mimo to poszedłem za nim.

Długo szliśmy plażą. Słońce było teraz miażdżące. Rozpryskiwało się w kawałeczki na morzu i piasku. Odniosłem wrażenie, że Rajmund wie, dokąd idzie, ale z pewnością myliłem się. Na skraju plaży doszliśmy wreszcie do małego źródełka, które za wielką skałą sączyło się po piasku. Tam zastaliśmy naszych dwóch Arabów. Leżeli w swych

zatłuszczonych kombinezonach. Sprawiali wrażenie całkiem spokojnych, a nawet zadowolonych. Nasze nadejście niczego nie zmieniło. Ten, który ugodził Rajmunda, przyglądał mu się bez słowa. Drugi dmuchał w niewielką trzcinę i, patrząc na nas kątem oka, powtarzał bez przerwy trzy nuty, które dobywał ze swego instrumentu.

Przez cały ten czas było tylko słońce i cisza, szmer strumyka i te trzy nutki. Potem Rajmund sięgnął do kieszeni po rewolwer, ale tamten ani drgnął, patrzyli ciągle na siebie. Zauważyłem, że ten, który grał, ma bardzo szeroko rozstawione palce u nóg. Nie spuszczając oka ze swego przeciwnika Rajmund zapytał: „Wykończyć go?” Pomyślałem, że jeśli powiem: „Nie”, zniecierpliwi się i na pewno strzeli. Powiedziałem więc tylko: „Jeszcze się do ciebie nie odezwał. Byłoby brzydko zabić go w ten sposób.” Znów słychać było lekki szmer wody i flet w sercu ciszy i żaru. Potem Rajmund powiedział: „Więc nawymyślam mu, a jak odpowie, wykończę go.” Odpowiedziałem: „Tak. Ale jeśli on nie wyciągnie noża, ty nie możesz strzelić.” Rajmund zaczął się trochę niecierpliwić. Ten drugi ciągle grał, obaj obserwowali każdy ruch Rajmunda. „Nie - powiedziałem - weź go w walce wręcz i oddaj mi swój rewolwer. Jeśli ten drugi się wtrąci albo jeśli on wyciągnie nóż, wykończę go.

Kiedy Rajmund oddawał mi rewolwer, słońce ześliznęło się po nim. Staliśmy znów nieruchomo, jak gdyby wszystko zwarło się wokół nas. Patrzyliśmy na siebie nie spuszczając oczu i wszystko zatrzymało się tu, między morzem, piaskiem i słońcem, w podwójnej ciszy fletu i wody. Pomyślałem wtedy, że można strzelić i można nie strzelić. Ale nagle Arabowie wycofali się tyłem za skałę. Wtedy Rajmund i ja poszliśmy z powrotem. Czuł się lepiej i mówił o powrotnym autobusie.

Odprowadziłem go aż do domku i podczas gdy wspinał się po drewnianych schodach, ja zatrzymałem się przed pierwszym stopniem z głową tętniącą od słońca, przerażony wysiłkiem, na który trzeba się było zdobyć, by wejść na piętro, oraz ponownym zetknięciem z kobietami. Ale żar był tak wielki, że stać nieruchomo pod oślepiającym deszczem, który spadał z nieba, także było ciężko. Zostać czy pójść - na jedno wychodziło. Po chwili zawróciłem na plażę i zacząłem iść przed siebie.

Trwała ciągle ta sama czerwona eksplozja. Morze dyszało na piasku gwałtownym, tłumionym oddechem fal. Szedłem powoli w kierunku skał i czułem, jak czoło nabrzmiewa mi od słońca. Cały ten żar skupił się na mnie i stawiał opór moim krokom. Za każdym razem, kiedy czułem na twarzy jego gorący powiew, zaciskałem zęby, zwierałem pięści w kieszeniach spodni, prężyłem się cały, żeby pokonać słońce i to mroczne, walące się na mnie oszołomienie. Za każdym cięciem światła, które tryskało z piasku, zbielałych muszli lub odłamków szkła, kurczyły mi się szczęki. Szedłem tak długo.

Z daleka widziałem niewielki, ciemny masyw skał w oślepiającej aureoli światła i morskiego pyłu. Pomyślałem o chłodnym źródełku za skałą. Pragnąłem odnaleźć szmer jego wody, pragnąłem uciec od słońca, wysiłku i płaczu kobiet, pragnąłem znaleźć wreszcie cień i

odpoczynek. Ale kiedy podszedłem bliżej, zobaczyłem, że ten facet Rajmunda wrócił.

Był sam. Leżał na wznak z rękami pod głową, czoło miał w cieniu, ciało na słońcu. Jego kombinezon dymił w żarze. Byłem nieco zdziwiony. Dla mnie ta historia została zakończona, przyszedłem tutaj nie myśląc o niej.

Kiedy mnie zobaczył, uniósł się trochę i wsunął rękę do kieszeni. Ja oczywiście ściskałem rewolwer Rajmunda, który miałem w marynarce. Znowu odchylił się w tył, ale nie wyciągnął ręki z kieszeni. Byłem od niego dość daleko, jakieś dziesięć metrów. Chwilami odgadywałem jego spojrzenie spod przymkniętych powiek. Ale częściej jego obraz tańczył mi przed oczami w rozżarzonym powietrzu. Szum fal był jeszcze bardziej powolny i leniwy jak w południe. To było to samo słońce, to samo światło, na tym samym piasku, który ciągnął się i tutaj. Już od dwóch godzin dzień nie posuwał się naprzód, od dwóch godzin zarzucił kotwicę w oceanie wrzącego metalu. Na horyzoncie przesunął się mały parowiec, odgadłem go po czarnej plamce na skraju mego pola widzenia, ponieważ nie przestawałem patrzeć na Araba.

Pomyślałem, że wystarczy, żebym wykonał półobrót, i wszystko się skończy. Ale z tyłu nacierała na mnie tętniąca słońcem plaża. Zrobiłem parę kroków w kierunku źródełka. Arab nie poruszył się. Mimo wszystko był jeszcze dość daleko. Prawdopodobnie wskutek cienia, który mu padał na twarz - wyglądał, jakby się uśmiechał. Czekałem. Oparzelizna słoneczna sięgnęła już moich policzków, czułem, jak na brwiach zbierają mi się krople potu. To było to samo słońce co w dniu pogrzebu mamy i jak wtedy najbardziej bolało mnie czoło, a wszystkie tętna waliły naraz pod skórą. To z racji tej oparzelizny, której nie mogłem już dłużej znosić, zrobiłem krok naprzód. Wiedziałem, że to jest głupie, że nie uwolnię się od słońca przesuwając się o krok. Ale zrobiłem ten krok, tylko jeden krok naprzód. Tym razem Arab, nie wstając, wyciągnął nóż i pokazał mi go w słońcu. Jak długa iskrząca się klinga, światło wytrysło ze stali i dotknęło mi czoła. W tej samej chwili pot, nagromadzony na brwiach, spłynął mi nagle na powieki i pokrył je gęstym, ciepłym woalem. Pod tą zasłoną z łez i soli moje oczy zaniewidziały. Czułem już tylko obuchy słońca na czole i nieco zatarty, świetlisty miecz dobywający się z noża, który był ciągle przede mną. Ta ognista szpada przebijała mi rzęsy i raniła obolałe oczy. I właśnie wtedy wszystko się zakołysało. Morze przyniosło gorący, ciężki podmuch. Wydało mi się, że niebo pękło wzdłuż i wszerz, by lunąć ogniem. Cała moja istota sprężyła się, zacisnąłem rękę na rewolwerze. Spust ustąpił, dotknąłem gładkiej wypukłości kolby i właśnie wtedy, w tym trzasku suchym i zarazem ogłuszającym, wszystko się zaczęło. Strząsnąłem pot i słońce. Zrozumiałem, że zburzyłem równowagę dnia, niezwykłą ciszę plaży, na której byłem szczęśliwy. Więc strzeliłem jeszcze cztery razy do bezwładnego ciała, kule zagłębiały się w nim niedostrzegalnie. I były to jak gdyby cztery krótkie uderzenia, którymi zastukałem do wrót nieszczęścia.

CZĘŚĆ II

Natychmiast po moim aresztowaniu byłem wielokrotnie przesłuchiwany. Ale ograniczano się do sprawdzenia danych tożsamości, co nie trwało długo. Za pierwszym razem w komisariacie moja sprawa zdawała się nie interesować nikogo. Ale w osiem dni później, przeciwnie, sędzia śledczy spoglądał na mnie z ciekawością. Lecz na początku spytał mnie tylko o nazwisko i adres, mój zawód, datę i miejsce urodzenia. Potem chciał wiedzieć, czy wybrałem już sobie adwokata. Przyznałem się, że nie, i zacząłem wypytywać go, czy to jest konieczne. „Dlaczego?" - powiedział. Odpowiedziałem, że uważam moją sprawę za bardzo prostą. Uśmiechnął się mówiąc: „Jak kto uważa. Jednakże jest takie prawo. Jeśli pan sam nie wybierze adwokata, przydzielimy go z urzędu." Poczytałem to za wielką wygodę, iż sprawiedliwość zajmuje się takimi drobiazgami. Powiedziałem mu to. Zgodził się ze mną i dodał, że prawo jest dobrze pomyślane.

Z początku nie traktowałem go poważnie. Przyjął mnie w pokoju z zapuszczonymi storami, na biurku stała tylko jedna lampa oświetlając fotel, na którym mnie posadził, podczas gdy sam pozostał w cieniu. Czytałem już podobny opis w którejś z książek i wszystko wydało mi się inscenizacją. Lecz po naszej rozmowie przyjrzałem mu się i zobaczyłem wysokiego mężczyznę o delikatnych rysach, ciemnoniebieskich, głęboko osadzonych oczach; miał długie siwe wąsy i obfitą, prawie białą czuprynę. Wydał mi się bardzo rozsądny i na ogół biorąc sympatyczny, pomimo nerwowych tików zniekształcających usta. Wychodząc chciałem uścisnąć mu rękę, ale w porę przypomniałem sobie, że zabiłem człowieka.

Nazajutrz odwiedził mnie w więzieniu adwokat. Był niski i krępy, dość młody, ze starannie przylizanymi włosami. Mimo upału (siedziałem bez marynarki) był w ciemnym ubraniu, sztywnym kołnierzyku i oryginalnym krawacie, w szerokie biało-czarne pasy. Położył na łóżku teczkę, którą trzymał pod pachą, przedstawił mi się i powiedział, że przestudiował moje akta. Sprawa była drażliwa, ale nie wątpił w powodzenie, jeśli mu zaufam. Podziękowałem, a on powiedział: „Przejdźmy do istoty rzeczy."

Usiadł na łóżku i oświadczył, że zostały zebrane informacje o moim życiu osobistym. Wiedziano, że moja matka niedawno umarła w przytułku. Przeprowadzono więc wywiad w Marengo. Funkcjonariusze śledztwa dowiedzieli się tam, że „dałem dowody nieczułości" w dniu pogrzebu mamy. „Pan rozumie - powiedział adwokat - krępuje mnie pytać pana o te sprawy. Ale to ma wielkie znaczenie. I byłoby ważnym argumentem dla oskarżenia, gdybym nie potrafił w tej sprawie niczego wyjaśnić." Chciał, żebym mu pomógł. Spytał, czy cierpiałem tego dnia. To pytanie bardzo mnie zdziwiło i pomyślałem, że czułbym się ogromnie zawstydzony, gdybym musiał je komuś zadać. Jednakże odpowiedziałem, że nieco odwykłem od stawiania sobie pytań i trudno mi będzie wyjaśnić te sprawy. Oczywiście, kochałem mamę, ale to o niczym nie świadczy. Wszystkie zdrowe istoty życzyły sobie, mniej

lub bardziej, śmierci tych, których kochały. Tu adwokat przerwał i zdawał się być bardzo wzburzony. Kazał mi przyrzec, że nie powiem tego ani na przesłuchaniu, ani u sędziego śledczego. Jednakże wyjaśniłem mu, że mam taką naturę - moje potrzeby fizyczne mącą często moje uczucia. W dniu pogrzebu mamy byłem bardzo zmęczony i senny. Tak, że nie zdawałem sobie sprawy z tego, co się działo. Jedyne, co mogę powiedzieć na pewno, to, że wolałbym, żeby mama nie umarła. Ale mój obrońca sprawiał nadal wrażenie niezadowolonego. Powiedział: „To nie wystarcza."

Zastanowił się. Spytał, czy może powiedzieć, że I tego dnia zapanowałem nad swymi uczuciami. Powiedziałem: „Nie, bo to nieprawda." Spojrzał na mnie jakoś dziwnie - jak gdybym budził w nim lekki wstręt. Powiedział prawie ze złością, że dyrektor i pracownicy przytułku będą w każdym razie przesłuchani w charakterze świadków i „że to może przybrać dla mnie bardzo niemiły obrót". Zwróciłem mu uwagę, że ta historia nie ma związku z moją sprawą; odpowiedział, że zaraz widać, iż nie miałem nigdy do czynienia ze sprawiedliwością.

Odszedł jakby zagniewany. Chciałem go zatrzymać i wyjaśnić, że potrzebuję jego życzliwości nie dlatego, by być lepiej bronionym, ale najprościej mówiąc - po ludzku. Widziałem, że przede wszystkim wprawiam go w zakłopotanie. Nie rozumiał mnie i był na mnie trochę zły. Pragnąłem zapewnić go, że jestem taki jak wszyscy, zupełnie taki sam jak wszyscy. Lecz w gruncie rzeczy nie przyniosłoby to większego pożytku, więc z lenistwa dałem temu spokój.

Niedługo potem znowu zaprowadzono mnie do sędziego śledczego. Była druga po południu i tym razem jego gabinet zalany był światłem, które zaledwie tłumiła lekka zasłona. Było bardzo gorąco. Prosił, żebym usiadł, i oświadczył ogromnie uprzejmie, że mój obrońca „wskutek nieprzewidzianych przeszkód" nie mógł przyjść. Ale miałem prawo nie odpowiadać na jego pytania, póki obrońca nie będzie przy tym obecny. Odrzekłem, że mogę odpowiadać sam. Nacisnął palcem guzik na stole. Wszedł młody protokolant i usadowił się tuż za moimi plecami.

My obaj usiedliśmy w fotelach. Przesłuchanie rozpoczęło się. Najpierw powiedział, że mówiono mu o mnie jako o człowieku zamkniętym i milczącym, chciał wiedzieć, co o tym sądzę. „Nie mam nic ważnego do powiedzenia, więc milczę." Uśmiechnął się tak jak za pierwszym razem i uznał, że jest to najlepsze wyjaśnienie, a potem dorzucił: „Zresztą, to nie ma żadnego znaczenia." Umilkł, przyjrzał mi się i raptownie wróciwszy do tematu mówił bardzo szybko: „Interesuje mnie przede wszystkim pańska osoba." Nie bardzo wiedząc, co chciał przez to wyrazić, nic nie odpowiedziałem. „W pańskim postępku są pewne rzeczy, których nie pojmuję. Jestem pewien, że pan pomoże mi je zrozumieć." Odparłem, że wszystko było bardzo proste. Nakłonił mnie, żebym mu opisał ten dzień. Opisałem więc znowu to wszystko, o czym mu już raz mówiłem: Rajmund, plaża, kąpiel, awantura, znowu plaża, źródełko, słońce i pięć strzałów z rewolweru. Po każdym zdaniu mówił: „Tak jest, tak

jest." Kiedy doszedłem do leżącego ciała, przytaknął mówiąc: „Dobrze." Męczyło mnie powtarzanie tej samej historii, zdawało mi się, że nigdy w życiu nie mówiłem tak dużo.

Po chwili milczenia wstał i powiedział, że chce mi pomóc, że zainteresowałem go i z pomocą Boską będzie mógł coś dla mnie zrobić. Ale przedtem chce mi jeszcze zadać kilka pytań. Bez żadnego przejścia spytał, czy kochałem mamę. Powiedziałem: „Owszem, tak jak wszyscy", a urzędnik, który do tej pory stukał miarowo w maszynę, musiał pomylić klawisze, gdyż zawahał się i zaczął od początku. Po czym sędzia, znowu pozornie bez logicznego związku, spytał, czy oddałem tych pięć strzałów bezpośrednio jeden po drugim. Zastanowiłem się i stwierdziłem, że najpierw strzeliłem tylko raz, a w kilka sekund potem następne cztery razy. Wtedy powiedział: „Dlaczego odczekał pan chwilę między pierwszym a drugim strzałem?" Raz jeszcze zobaczyłem czerwoną plażę i poczułem na czole słoneczną spiekotę. Tym razem nic nie odpowiedziałem. W ciszy, która nastąpiła, sędzia zdradzał oznaki podniecenia. Usiadł, zmierzwił włosy, oparł łokcie o biurko i pochylił się ku mnie z dziwnym wyrazem twarzy: „Dlaczego, dlaczego strzelił pan do leżącego ciała?" Tu znowu nie potrafiłem odpowiedzieć. Sędzia przesunął ręką po czole i zmienionym głosem powtórzył pytanie: „Dlaczego? Musi mi pan powiedzieć. Dlaczego?" Ciągle milczałem.

Nagle wstał, wielkimi krokami przeszedł na koniec gabinetu i otworzył szufladę segregatora. Wyjął z niej srebrny krucyfiks; potrząsnął nim zbliżając się ku mnie. Głosem kompletnie zmienionym, niemal drżącym zawołał: „Czy pan go poznaje, tak, jego?" Powiedziałem: „Oczywiście." Wówczas zaczął mówić bardzo szybko i namiętnie, że on wierzy w Boga, i w jego przekonaniu żaden człowiek nie jest na tyle winien, by Pan Bóg nie mógł mu tego przebaczyć, lecz trzeba, aby przez swą skruchę stał się jak dziecko o duszy nietkniętej, gotowej do przyjęcia wszystkiego. Pochylił się cały nad stołem. Wymachiwał krucyfiksem niemal nade mną, Prawdę mówiąc, nieuważnie śledziłem jego wywód przede wszystkim dlatego, że było mi bardzo gorąco i że w pokoju były wielkie muchy, które siadały mi na twarzy, a poza tym - trochę się go bałem. Jednocześnie zdawałem sobie sprawę, że to jest śmieszne, bo ostatecznie to ja byłem zbrodniarzem. Tymczasem on ciągnął dalej. Zrozumiałem, mniej więcej, że jego zdaniem, był tylko jeden niejasny punkt w moich zeznaniach - fakt, że odczekałem chwilę, nim strzeliłem po raz drugi. Wszystko inne było w zupełnym porządku, tego jednak nie rozumiał.

Chciałem mu powiedzieć, że nie ma racji obstając przy tym, ten ostatni szczegół nie miał aż tak wielkiego znaczenia. Ale przerwał mi i stając jakby na baczność upomniał mnie po raz ostatni, pytając, czy wierzę w Boga. Odpowiedziałem, że nie. Usiadł oburzony. Powiedział, że to niemożliwe, że wszyscy ludzie wierzą w Boga, nawet ci, którzy odwracają się od jego oblicza. Jest tego pewien i gdyby przyszło mu kiedyś w to zwątpić, jego życie nie miałoby już sensu. „Czy pan chce - wykrzyknął - żeby moje życie nie miało sensu?" Byłem zdania, że to nie moja sprawa, i powiedziałem mu to. Ale on wyciągnął już ponad stołem

krucyfiks i podsuwając mi go pod oczy, krzyczał nierozumnie: „Ja, ja jestem chrześcijaninem. I proszę go o darowanie wszystkich twoich win. Jak możesz nie wierzyć, że cierpiał za ciebie?” Od razu spostrzegłem, że mówi mi ty, ale miałem go już dosyć. Upał wzmagał się z każdą chwilą. Jak zawsze, kiedy chciałem uwolnić się od kogoś, kogo słuchałem z trudem, tak i teraz zrobiłem potakującą minę. Ku memu zdumieniu triumfował: „Widzisz, widzisz - mówił. - Prawda, że wierzysz i oddasz mu się w opiekę?” Oczywiście odpowiedziałem raz jeszcze: „Nie.” Opadł na fotel.

Sprawiał wrażenie bardzo zmęczonego. Milczał chwilę, podczas gdy maszyna podążająca bez przerwy za naszym dialogiem ciągnęła jeszcze ostatnie zdanie. Potem przyjrzał mi się uważnie i trochę smutno. Wyszeptał: „Nie widziałem nigdy równie zatwardziałej duszy jak pańska. Zbrodniarze, których przyprowadzano do mnie, zawsze płakali przed tym wizerunkiem boleści.” Chciałem odpowiedzieć, że działo się tak, ponieważ to byli zbrodniarze. Ale pomyślałem, że ja także byłem jak oni. To była myśl, do której nie mogłem się przyzwyczaić. Potem sędzia podniósł się, jakby mi dawał znak, że przesłuchanie zostało skończone. Spytał mnie jeszcze tylko z tym samym znużonym wyrazem twarzy, czy żałuję mego czynu. Zastanowiłem się i powiedziałem, że to, co odczuwam, jest raczej pewną przykrością, a nie prawdziwym żalem. Odniosłem wrażenie, że mnie nie zrozumiał. Ale tego dnia sprawy nie posunęły się już dalej.

Potem jeszcze wiele razy odwiedzałem sędziego, tylko już za każdym razem w towarzystwie mego obrońcy. Ograniczali się do precyzowania poszczególnych punktów moich poprzednich zeznań. Albo też sędzia roztrząsał z adwokatem stopień mego obciążenia. Ale w gruncie rzeczy, w tych momentach wcale się mną nie zajmowano. W każdym razie ton przesłuchań ulegał stopniowo zmianie. Wyglądało na to, że sędzia przestał się mną interesować i że w pewien sposób zaklasyfikował moją sprawę. Nie mówił więcej o Bogu i nigdy nie widziałem go tak wzburzonym jak w tym pierwszym dniu. W rezultacie nasze stosunki stały się bardziej kordialne. Kilka pytań, krótka rozmówka z moim obrońcą i przesłuchanie skończone. Moja sprawa, wedle określenia sędziego, szła swoim trybem. Czasem, gdy rozmowa miała bardziej ogólny charakter - włączano mnie do niej. Zaczynałem swobodnie oddychać. Nikt w tym czasie nie traktował mnie źle. Wszystko było tak zwyczajne, tak dobrze uregulowane i prowadzone z takim umiarem, że ulegałem dziwnemu wrażeniu, iż stałem się „członkiem rodziny”. I mogę powiedzieć, że po upływie jedenastu miesięcy śledztwa zdumiewało mnie prawie to, iż jedyną moją radością były owe szczególne chwile, gdy sędzia klepał mnie po plecach odprowadzając do drzwi swego gabinetu i mówił: „Na dziś koniec, panie Antychryście.” Po czym oddawano mnie w ręce żandarmów.

Są rzeczy, o których nigdy nie lubiłem mówić. Kiedy dostałem się do więzienia, zrozumiałem po paru dniach, że nie będę lubił mówić o tym okresie mojego życia.

Później nie pojmowałem już tych oporów. W pierwszych dniach właściwie nie byłem

w więzieniu: oczekiwałem niejasno jakiegoś nowego wydarzenia. Wszystko zaczęło się dopiero po pierwszej i jedynej wizycie Marii. Od dnia gdy otrzymałem jej list (pisała, że nie pozwalają jej więcej mnie odwiedzać, ponieważ nie jest moją żoną), od tego dnia poczułem, że w celi jestem u siebie i że moje życie tutaj się zatrzymało. W dniu mojego aresztowania zamknięto mnie najpierw w izbie, w której było już wielu zatrzymanych, przeważnie Arabów. Na mój widok zaczęli się śmiać. Potem spytali, co zrobiłem. Powiedziałem, że zabiłem Araba. Umilkli. Ale w chwilę potem zapadł wieczór. Objaśnili mi, jak trzeba rozłożyć matę, na której miałem spać. Zwijając jeden jej koniec można było zrobić wezgłowie. Całą noc pluskwy biegały mi po twarzy. Po paru dniach umieszczono mnie samego w celi, gdzie spałem na drewnianej pryczy. Miałem tam kibel i żelazną miednicę. Więzienie leżało w górze miasta i przez małe okienko mogłem widzieć morze. Pewnego dnia, gdy stałem uczepiony krat, z twarzą wyciągniętą ku światłu, wszedł strażnik i powiedział, że ktoś przyszedł mnie odwiedzić. Pomyślałem, że to Maria. Rzeczywiście, to była ona.

Idąc do rozmównicy minąłem długi korytarz, potem schody, na koniec jeszcze jeden korytarz. Wszedłem do bardzo dużej sali, oświetlonej przez szerokie okno. Salę przecinały wzdłuż duże, wysokie kraty, dzieląc ją na trzy części. Między dwiema kratami rozciągała się przestrzeń ośmiu do dziesięciu metrów, która dzieliła odwiedzających od więźniów. Na wprost mnie zobaczyłem Marię. Była w sukience w paski i miała opaloną twarz. Po mojej stronie znajdowało się z dziesięciu więźniów, przeważnie Arabów. Marię otaczały Mauretanki, stała między dwiema odwiedzającymi: małą, czarno ubraną staruszką o zaciśniętych ustach i grubą kobietą z odkrytą głową, która mówiła coś bardzo głośno, żywo gestykulując. Z powodu odległości między kratami odwiedzający i więźniowie musieli prawie krzyczeć. Gdy wszedłem, zgiełk głosów rozbrzmiewających wśród wysokich, nagich murów i ostre światło, które płynęło z nieba po szybach wlewając się do sali, wszystko to razem przyprawiło mnie o rodzaj zawrotu głowy. Moja cela była cichsza i ciemniejsza. Dopiero po paru chwilach oswoiłem się z tym. W końcu jednak dostrzegałem każdą twarz rysującą się wyraźnie w pełnym świetle. Spostrzegłem również, że na skraju korytarza, między dwiema kratami, siedział strażnik. Większość więźniów, Arabów, podobnie jak ich rodziny, przykucnęła na wprost siebie. Ci nie krzyczeli. Mimo wrzawy udawało im się porozumiewać cichym głosem. Ich stłumiony szept, dobywający się z dołu, stanowił jakby nieustanny akompaniament dla rozmów krzyżujących się ponad ich głowami. Spostrzegłem to wszystko bardzo szybko, podchodząc do Marii. Przywarła już do krat, śmiejąc się do mnie całą twarzą. Wydała mi się bardzo piękna, ale nie umiałem jej tego powiedzieć.

„No - powiedziała bardzo głośno - no widzisz. Czy czujesz się dobrze, czy masz wszystko, czego ci potrzeba?” - „Tak, wszystko.”

Umilkliśmy. Maria uśmiechała się ciągle. Tęga kobieta wrzeszczała coś do mego sąsiada, prawdopodobnie męża, rosłego faceta o jasnych włosach i otwartym spojrzeniu. Był

to dalszy ciąg uprzednio rozpoczętej rozmowy.

„Janka nie chce go wziąć" - krzyczała na całe gardło. „Tak, tak" - mówił mężczyzna. „Powiedziałam jej, że go odbierzesz, jak wyjdziesz, ale ona nie chce go wziąć."

Maria krzyknęła ze swego miejsca, że Rajmund przesyła mi pozdrowienia, odpowiedziałem: „Dziękuję." Ale zagłuszył mnie sąsiad, który pytał: „Czy on czuje się dobrze?" Jego żona roześmiała się mówiąc: „Nigdy nie czuł się lepiej." Mój sąsiad z lewej, młody chłopak o delikatnych rysach twarzy, nic nie mówił. Zauważyłem, że stał na wprost małej staruszki i że oboje wpatrywali się w siebie w napięciu. Ale nie mogłem obserwować ich dłużej, ponieważ Maria krzyknęła, że nie trzeba tracić nadziei. Powiedziałem: „Tak." Jednocześnie patrzyłem na nią i miałem ochotę uścisnąć poprzez suknię jej ramiona. Miałem ochotę dotknąć tej cienkiej tkaniny i niezbyt dobrze wiedziałem, na co mógłbym mieć nadzieję, jeśli nie na to. Ale Maria z pewnością chciała mi powiedzieć to właśnie, bo uśmiechała się nadal. Widziałem już tylko blask jej zębów i małe fałdki wokół oczu. Znowu krzyknęła: „Wyjdziesz i pobierzemy się." Odpowiedziałem: „Tak myślisz?", ale głównie dlatego, żeby coś powiedzieć. Wtedy bardzo szybko i wciąż bardzo głośno powiedziała, że tak, że zostanę uniewinniony i że będziemy się jeszcze razem kąpać. Ale obok jakaś kobieta wrzeszczała, że zostawiła koszyk w kancelarii. Wyliczała, co do niego włożyła. Trzeba sprawdzić, bo wszystko drogo kosztuje. Mój drugi sąsiad i jego matka ciągle patrzyli na siebie. W dole nie ustawał szept Arabów. Światło zdawało się pęcznieć za oknami.

Czułem się trochę chory i miałem ochotę odejść. Hałas męczył mnie. Ale z drugiej strony chciałem jeszcze korzystać z obecności Marii. Nie wiem, ile znowu minęło czasu. Maria mówiła mi o swojej pracy i uśmiechała się bez przerwy. Szepty, krzyki, rozmowy krzyżowały się ze sobą. Jedyną wysepkę ciszy stanowili ten młody człowiek i ta staruszka, ciągle w siebie wpatrzeni. Zaczęto po trochu wyprowadzać Arabów. Prawie wszyscy umilkli, gdy pierwszy wyszedł. Mała staruszka zbliżyła się do krat i w tej samej chwili strażnik dał znak jej synowi. Powiedział: „Do widzenia, mamo", a ona wsunęła rękę między dwa pręty i pożegnała go długim, powolnym skinieniem.

Gdy odchodziła, wszedł jakiś mężczyzna z kapeluszem w ręku i zajął jej miejsce. Przyprowadzili jakiegoś więźnia i zaczęła się ożywiona rozmowa, prowadzana półgłosem, gdyż w sali panowała już cisza. Wywołali również mego sąsiada po prawej, jego żona, jakby nie dostrzegając, że nie trzeba już krzyczeć, powiedziała tak samo głośno: „Dbaj o siebie i bądź uważny." Potem przyszła kolej na mnie. Maria uczyniła gest, jakby mnie chciała objąć. Nim wyszedłem, obróciłem się raz jeszcze. Stała nieruchomo, z twarzą przyciśniętą do kraty, z tym samym rozdzierającym i kurczowym uśmiechem.

Niedługo potem napisała do mnie. 1 od tego czasu zaczęły się te sprawy, o których nigdy nie lubiłem mówić. Lecz w żadnym razie nie trzeba przesadzać, mnie przychodziło to łatwiej niż innym. W początkach mego uwięzienia najcięższe było wszakże to, że miałem

myśli wolnego człowieka. Na przykład brała mnie ochota, żeby znaleźć się na plaży i powoli wchodzić do morza. Gdy tylko wyobraziłem sobie szum pierwszych fal pod moimi stopami, ulgę, jaką sprawiało mi zanurzenie ciała w wodzie, czułem natychmiast, jak bardzo ciasne były mury więzienia. Ale to trwało zaledwie kilka miesięcy. Potem miałem już tylko myśli więźnia. Oczekiwałem codziennego spaceru, który odbywałem po dziedzińcu lub odwiedzin mego obrońcy. Resztę czasu zorganizowałem sobie bardzo dobrze. Często myślałem wówczas, że gdyby zmuszono mnie do życia w pniu uschniętego drzewa, gdzie jedynym moim zajęciem byłoby oglądanie barwy nieba ponad moją głową, z czasem przyzwyczaiłbym się i do tego. Czekałbym na przelot ptaków lub na zderzanie się chmur, tak jak tutaj czekałem na dziwaczne krawaty mego obrońcy lub jak dawniej, w tamtym świecie, cierpliwie wyczekiwałem soboty, by obejmować ciało Marii. A przecież zastanowiwszy się dobrze, nie żyłem w uschniętym drzewie. Byli bardziej nieszczęśliwi ode mnie. W końcu do wszystkiego można się przyzwyczaić; była to dewiza mamy, którą często powtarzała.

Zresztą zazwyczaj nie posuwałem się aż tak daleko. Pierwsze miesiące były ciężkie. Ale właśnie wysiłek, na który musiałem się zdobyć, pomógł mi je przeżyć. Na przykład dręczyło mnie pragnienie kobiety. To zrozumiałe, byłem młody. Nie myślałem nigdy specjalnie o Marii. Ale tyle myślałem o kobiecie, o kobietach, o wszystkich, które znałem, o wszystkich okolicznościach, w których je kochałem, że moja cela napełniała się ich twarzami i zaludniała pragnieniami. Z jednej strony, to mnie wytrącało z równowagi. Ale z drugiej, zabijało czas. Z czasem pozyskałem sympatię starszego strażnika, który w godzinach posiłków towarzyszył chłopcu kuchennemu. On pierwszy zaczął mi mówić o kobietach. Powiedział, że to jest pierwsza rzecz, na którą skarżą się inni. Powiedziałem, że ze mną jest tak samo i że uważam takie traktowanie za niesprawiedliwe. „Ależ właśnie po to wsadzono pana do więzienia.” - „Jak to?” - „No tak, wolność to właśnie to. Pozbawiają pana wolności.” Nigdy nie pomyślałem o tym. Uznałem, że ma rację: „To prawda - powiedziałem - gdzie byłaby kara?” - „Tak, panie, pan rozumie te sprawy. Inni nie. Ale kończą na tym, że sami sprawiają sobie ulgę.” Potem strażnik wyszedł.

Była też sprawa papierosów. Kiedy dostałem się do więzienia, odebrano mi pasek, sznurowadła do butów, krawat i wszystko, co miałem w kieszeniach, a zwłaszcza papierosy. Kiedy znalazłem się już w celi, zażądałem, żeby mi je zwrócono. Ale odpowiedziano mi, że to jest wzbronione. Pierwsze dni były bardzo ciężkie. Być może to właśnie przygnębiło mnie najbardziej. Ssałem kawałki drzewa, odrywałem je od mojej pryczy. Chodziłem przez cały dzień z nieustannymi mdłościami. Nie pojmowałem, dlaczego pozbawiono mnie rzeczy, która nie szkodziła nikomu. Później zrozumiałem, że to również stanowiło część kary. Ale właśnie w tym okresie odzwyczaiłem się od palenia i ta kara nie była już dla mnie żadną karą.

Pominąwszy te przykrości, nie czułem się bardzo nieszczęśliwy. Cały problem polegał znowu na zabijaniu czasu. Wreszcie od chwili gdy nauczyłem się wspominać, nie nudziłem

się już wcale. Kilkakrotnie zabierałem się do myślenia o moim pokoju, wyobrażałem sobie, że wychodzę z jednego jego kąta, by doń powrócić, wyliczywszy w myśli to wszystko, co napotkałem po drodze. Z początku odbywało się to bardzo szybko. Ale za każdym następnym razem trwało nieco dłużej. Przypomniałem sobie każdy mebel, a na każdym z nich każdy stojący przedmiot, i znowu osobno wszystkie szczegóły tego przedmiotu, każde pęknięcie, inkrustacje, wyszczerbiony brzeg, kolor lub fakturę. Jednocześnie starałem się nie opuścić nic z mego inwentarza. Tak że po upływie kilku tygodni mogłem spędzać godziny jedynie na wyliczaniu tego, co znajdowało się w moim pokoju. W ten sposób im bardziej się w to zagłębiałem, tym więcej odnajdywałem w pamięci rzeczy niezauważonych lub zapomnianych. Zrozumiałem wówczas, że człowiek, który przeżył tylko jeden, jedyny dzień, może bez trudu żyć sto lat w więzieniu. Miałby dosyć wspomnień, żeby się nie nudzić. W pewnym sensie to by nawet było lepiej.

Był również sen. Na początku źle spałem w nocy i zupełnie nie mogłem spać w dzień. Powoli moje noce stawały się coraz lepsze i mogłem spać również za dnia. W ostatnich miesiącach spałem od szesnastu do osiemnastu godzin dziennie. Zostawało mi więc do zabicia sześć godzin - wraz z posiłkami, potrzebami naturalnymi, wspomnieniami i historią Czecha.

Między siennikiem a deską łóżka znalazłem bowiem stary kawałek gazety, niemal przyklejony do materiału, pożółkły i przetarty. Przynosił wiadomość o zdarzeniu, którego początku brakowało, a które miało miejsce w Czechosłowacji. Z czeskiej wioski wyjechał jakiś człowiek, żeby zrobić majątek. Po upływie dwudziestu pięciu lat, już bogaty, powrócił z żoną i dzieckiem. Jego matka wraz z siostrą prowadziły zajazd w rodzinnej wsi. Żeby im sprawić niespodziankę, zostawił żonę i dziecko w innej gospodzie, a sam udał się do matki, która, gdy wszedł, nie poznała go. Dla żartu wpadł na pomysł wynajęcia pokoju. Pokazał swoje pieniądze. W nocy matka i siostra zamordowały go siekierą, okradły, a ciało wrzuciły do rzeki. Rano przyszła żona i, nie wiedząc o niczym, wyjaśniła, kim był podróżny. Matka powiesiła się. Siostra rzuciła do studni. Mogłem tysiące razy czytać tę opowieść. Z jednej strony była nieprawdopodobna. Z drugiej zrozumiała. W każdym razie uznałem, że podróżny był trochę winien i że nigdy nie trzeba udawać.

W ten sposób, poprzez godziny snu, lekturę tego dziwacznego wydarzenia i kolejne przemiany światła w mrok, mijał czas. Słyszałem często, że w końcu w więzieniu gubi się rachubę czasu. Ale to nie miało dla mnie wielkiego znaczenia. Nigdy bym nie uwierzył, do jakiego stopnia dni mogą być jednocześnie długie i krótkie. Długie, oczywiście, jeśli trzeba je przeżyć, ale tak rozciągliwe, że zachodzą w końcu jeden na drugi. Tracą przy tym swą nazwę. Słowa „wczoraj” lub „jutro”, były jedynymi, które zachowały dla mnie swój sens.

Kiedy pewnego dnia strażnik powiedział mi, że jestem tu od pięciu miesięcy, uwierzyłem mu, ale nie zrozumiałem go. Dla mnie wciąż przetaczał się po mojej celi jeden i

ten sam dzień, jedno i to samo zadanie, które spełniałem. Tego dnia po wyjściu strażnika przejrzałem się w aluminiowej manierce. Wydało mi się, że moje odbicie pozostaje poważne, nawet wówczas, gdy staram się do niego uśmiechać. Poruszyłem manierką. Uśmiechnąłem się, lecz ono zachowało ten sam surowy, smutny wyraz. Dzień dobiegał końca, była to godzina, o której nie chcę mówić, godzina bez nazwy, gdy ze wszystkich pięter więzienia odgłosy wieczoru wznosiły się jak gdyby w wielkim korowodzie ciszy. Zbliżyłem się do okienka i w ostatnim blasku dnia raz jeszcze przyjrzałem się swemu odbiciu. Było ciągle poważne, lecz cóż w tym dziwnego, skoro ja sam byłem w tej chwili również poważny? Ale równocześnie po raz pierwszy od długich miesięcy usłyszałem wyraźnie dźwięk mojego głosu. Poznałem, że jest to ten sam głos, który od długich dni dźwięczał mi w uszach, i zrozumiałem, że przez cały ten czas mówiłem do siebie. Przypomniałem sobie wówczas, co powiedziała pielęgniarka na pogrzebie mamy. Nie, nie ma wyjścia i nikt nie może sobie wyobrazić, czym są wieczory w więzieniu.

Mogę powiedzieć, że w gruncie rzeczy po lecie bardzo szybko przyszło lato. Wiedziałem, że wraz z nasileniem pierwszych upałów nadejdą dla mnie nowe wydarzenia. Moja sprawa została wyznaczona na ostatnią sesję sądu przysięgłych, a ta sesja kończyła się w czerwcu. Obrady rozpoczęły się w pełni słonecznej pory. Mój obrońca zapewnił mnie, że nie potrwają dłużej jak dwa, trzy dni. „Zresztą - dorzucił - sąd będzie się spieszył, ponieważ pana sprawa nie jest w tej sesji najważniejsza. Jest jeszcze ojcobójca, który staje zaraz po panu.”

O wpół do ósmej rano przyszli po mnie i karetka więzienna zawiozła mnie do sądu. Dwóch żandarmów kazało mi wejść do pokoju, w którym pachniało cieniem. Czekaliśmy siadłszy przy drzwiach, za którymi rozlegały się głosy, nawoływania, szuranie krzeseł - rozgardiasz przywodzący na myśl ludowe zabawy, gdy po koncercie szykowano salę do tańców. Żandarmi powiedzieli, że trzeba zaczekać na sędziów, i jeden z nich poczęstował mnie papierosami; odmówiłem. Po chwili spytał, czy mam tremę. Odpowiedziałem, że nie. A nawet w pewnym sensie ciekawi mnie zobaczyć proces. Nigdy nie miałem po temu okazji. „Tak - powiedział drugi żandarm - ale to w końcu męczy.”

Niedługo potem zadźwięczał w pokoju dzwonek. Wtedy zdjęli mi kajdanki. Otworzyli drzwi i wprowadzili mnie na ławę oskarżonych. Sala była nabita po brzegi. Mimo zasłon słońce przenikało gdzieniegdzie i już było duszno. Okna pozostawiono zamknięte. Usiadłem mając po obu stronach żandarmów. I właśnie w tym momencie zobaczyłem przed sobą rząd twarzy. Wszystkie patrzyły na mnie - zrozumiałem, że to są sędziowie przysięgli. Ale nie potrafiłbym powiedzieć, czym się między sobą różnili. Odniosłem tylko jedno wrażenie: jakbym się znalazł w tramwaju, gdzie nieznani pasażerowie śledzą z ławek nowo przybyłego, by wypatrzeć w nim jakieś śmiesznostki. Wiedziałem dobrze, że to była głupia myśl, bo nie śmiesznostek tu szukano, lecz zbrodni. Zresztą różnica nie jest tak wielka, a w każdym razie

taka myśl przyszła mi do głowy.

Byłem też trochę oszołomiony tym tłumem w zamkniętej sali. Znowu spojrzałem na salę i nie mogłem rozróżnić ani jednej twarzy. Początkowo nie zdawałem sobie sprawy, że wszyscy ci ludzie cisnęli się tu, aby mnie obejrzeć. Zazwyczaj ludzie nie zajmowali się moją osobą. Trzeba było pewnego wysiłku, bym zrozumiał, że to ja jestem powodem tego poruszenia. Powiedziałem do żandarma: „Ile ludzi!" Odrzekł, że to z powodu prasy, i wskazał na grupę osób skupionych wokół stołu, poniżej ławy przysięgłych. Powiedział: „To oni." Spytałem: „Kto?", a on powtórzył: „Prasa." Znał jednego z dziennikarzy, który spostrzegł go akurat i skierował się ku nam. Był to starszy mężczyzna, sympatyczny, o nieco nerwowej twarzy. Uścisnął dłoń żandarma bardzo serdecznie. Wtedy spostrzegłem, że wszyscy wymieniają między sobą uwagi i pytania jak w klubie, gdzie każdy jest rad z przebywania wśród ludzi swojej sfery. Wytłumaczyłem sobie również dziwaczne uczucie, że jestem tutaj jak gdyby intruzem, osobą zbędną. Jednak dziennikarz zwrócił się do mnie z uśmiechem. Powiedział, że ma nadzieję, iż wszystko potoczy się pomyślnie. Podziękowałem mu, a on dodał: „Wie pan, rozdmuchaliśmy nieco pańską sprawę. Lato to martwy sezon dla prasy. Tylko pana historia i tego ojcobójcy mają jakieś znaczenie." Potem wskazał mi w grupie, którą dopiero co opuścił, małego człeczynę w ogromnych czarno obwiedzionych okularach, które czyniły go podobnym do utuczonej łasiczki. Powiedział, że jest to specjalny korespondent paryskiego dziennika: „Nie przyjechał zresztą dla pana. Ale ponieważ zlecono mu sprawozdanie z procesu ojcobójcy, poproszono, by przekablował również i pańską sprawę." Znów omal mu nie podziękowałem. Ale uświadomiłem sobie, że byłoby to śmieszne. Skinął mi serdecznie dłonią i odszedł. Znowu czekaliśmy parę minut.

Wszedł mój adwokat, w todze, otoczony przez kolegów. Podszedł do dziennikarzy, ściskał im dłonie. Żartowali, śmieli się i zachowywali z pełną swobodą, do momentu kiedy na sali nie zadźwięczał dzwonek. Wszyscy wrócili na swoje miejsca. Adwokat podszedł do mnie, uścisnął mi rękę i poradził, żebym krótko odpowiadał na zadawane pytania, żebym sam się nie wyrywał, a wszystko inne zdał na niego.

Usłyszałem zgrzyt przesuwanego krzesła po mojej lewej stronie i zobaczyłem wysokiego, chudego mężczyznę w czerwieni; miał lorgnon. Usiadł ułożywszy starannie fałdy togi. To był prokurator. Woźny obwieścił przybycie sądu. Jednocześnie zaczęły warczeć dwa wielkie wentylatory. Weszło trzech sędziów, dwóch w czerni, trzeci w czerwieni nieśli akta; szybkim krokiem skierowali się ku trybunie górującej nad salą. Człowiek w czerwonej todze usiadł w fotelu pośrodku, położył przed sobą biret, otarł chusteczką małą, łysą czaszkę i obwieścił, że posiedzenie sądu zostało otwarte.

Dziennikarze trzymali już w dłoniach swoje wieczne pióra. Mieli jednakowy wyraz twarzy, obojętny i nieco drwiący. Jednakże jeden z nich, o wiele młodszy, w szarym, flanelowym ubraniu i niebieskim krawacie, położył pióro przed sobą i patrzył na mnie. W

jego nieco asymetrycznej twarzy widziałem tylko oczy, bardzo jasne, które badały mnie uważnie, nie wyrażając nic, co dałoby się określić. Doznałem dziwacznego wrażenia, jak gdybym to ja sam przypatrywał się sobie. To pewnie dlatego, a także i przez to, że nie znałem miejscowych zwyczajów, niezbyt dobrze rozumiałem wszystko, co nastąpiło potem: losowanie sędziów przysięgłych, pytania stawiane przez przewodniczącego obrońcy, prokuratorowi i ławie przysięgłych (za każdym razem wszystkie głowy sędziów przysięgłych zwracały się jednocześnie w stronę sądu), szybkie odczytanie aktu oskarżenia, w którym rozpoznałem nazwy miejsc i osób, i na nowo pytania zadawane memu obrońcy.

Przewodniczący powiedział, że należy przystąpić do przesłuchania świadków. Woźny odczytał nazwiska, które zwróciły moją uwagę. Zobaczyłem, jak z wnętrza bezkształtnego dotąd tłumu podnoszą się kolejno, by zniknąć następnie w bocznych drzwiach - dyrektor, dozorca przytułku, stary Tomasz Perez, Rajmund, Masson, Salamano, Maria. Posłała w moją stronę nieznaczne, trwożne skinienie. Jeszcze nie zdążyłem ochłonąć ze zdumienia, że nie dostrzegłem ich wcześniej, gdy wywołano ostatnie nazwisko i wstał Celestyn. Obok niego zobaczyłem tę małą kobietkę z restauracji w tym samym żakiecie i z tym samym wyrazem twarzy, zdecydowanym i stanowczym. Przypatrywała mi się z natężeniem. Ale przewodniczący zabrał głos i nie miałem czasu zastanowić się nad tym. Powiedział, że właściwa rozprawa rozpoczyna się i że uważa za zbędne zalecanie publiczności spokoju. Według niego, był on tu po to, żeby bezstronnie kierować obradami nad sprawą, którą chce rozpatrzyć z całym obiektywizmem. Wyrok wydany przez sędziów przysięgłych zostanie powzięty w duchu sprawiedliwości, a on, w każdym razie, każe opróżnić salę przy najmniejszym zamieszaniu.

Upał wzmagał się i zobaczyłem, że ludzie na sali wachlują się gazetami. Powodowało to bezustanny szelest gniecionego papieru. Przewodniczący dał znak i woźny przyniósł trzy wachlarze z plecionej słomki; trzej sędziowie natychmiast zaczęli nimi wachlować.

Moje przesłuchanie rozpoczęło się niebawem. Przewodniczący wypytywał mnie ze spokojem, a nawet, jak mi się zdawało, z pewną serdecznością. Kazano mi znowu wymienić dane mojej tożsamości i choć to było drażniące, pomyślałem, że w istocie jest słuszne, ponieważ byłoby rzeczą zbyt poważną sądzić jednego człowieka w miejsce drugiego. Potem przewodniczący zaczął opisywać to, co uczyniłem, i zwracając się do mnie co kilka zdań pytał: „Czy tak?” Za każdym razem odpowiadałem: „Tak, panie przewodniczący”, zgodnie ze wskazaniami mego obrońcy. Ciągnęło się to długo, ponieważ przewodniczący opisywał zdarzenia bardzo drobiazgowo. Dziennikarze pisali przez cały czas. Czułem na sobie spojrzenie najmłodszego z nich i tej „kobiety-automatu”. Ławka tramwajowa była cała zwrócona ku przewodniczącemu. A on zakasłał, przekartkował akta i nie przerywając wachlowania zwrócił się w moją stronę.

Powiedział, że postawi mi teraz pytania, pozornie obce sprawie, lecz pozostające z nią

być może w bliskim związku. Zrozumiałem, że znowu będzie mówił o mamie, i poczułem, jak bardzo mnie to nudzi. Spytał, dlaczego umieściłem mamę w przytułku. Odpowiedziałem, że stało się tak, ponieważ nie miałem dość pieniędzy, by jej zapewnić opiekę i wygody. Spytał, czy mnie osobiście było przykro z tego powodu; odpowiedziałem, że ani mama, ani ja nie oczekiwaliśmy już nic od siebie nawzajem, jak zresztą od nikogo i że oboje przywykliśmy do nowych warunków życia. Wówczas przewodniczący powiedział, że nie chce przy tym punkcie obstawać, i spytał prokuratora, czy ma jakieś pytanie do postawienia.

Tamten, wpół zwrócony w moją stronę, nie patrząc na mnie oświadczył, iż upoważniony przez przewodniczącego chciałby się dowiedzieć, czy po to wróciłem sam jeden do źródełka, żeby zabić Araba. „Nie" - odparłem. „A więc dlaczego był uzbrojony i dlaczego wrócił akurat na to samo miejsce?" Powiedziałem, że to był przypadek. Prokurator stwierdził z naciskiem: „To na razie byłoby wszystko." To, co z kolei nastąpiło, było trochę niejasne, przynajmniej dla mnie. Naradzali się chwilę po cichu, a potem przewodniczący ogłosił, że rozprawa zostaje zawieszona, wznowi się ją po południu celem przesłuchania świadków.

Nie miałem czasu zastanowić się nad tym wszystkim. Wyprowadzili mnie, kazali wejść do karetki i zawieźli do więzienia, gdzie dostałem jeść. Po upływie krótkiego czasu, tyle że zdążyłem sobie uświadomić, iż jestem zmęczony, wrócili po mnie; wszystko rozpoczęło się na nowo, byłem w tej samej sali, wobec tych samych twarzy. Tylko upał wzmógł się znacznie i jakimś cudem każdy z sędziów przysięgłych, prokurator, adwokat oraz kilku dziennikarzy zostało zaopatrzonych w słomkowe wachlarze. Młody dziennikarz i mała kobietka byli tu nadal. Ale nie wachlowali się i milcząc patrzyli na mnie.

Otarłem pot pokrywający mi twarz i dopiero gdy posłyszałem, jak wywołano dyrektora przytułku, odzyskałem świadomość miejsca i siebie samego. Spytano go, czy mama skarżyła się na mnie, odpowiedział, że tak, ale że uskarżanie się na swych bliskich stanowi rodzaj manii jego pensjonariuszy. Przewodniczący kazał mu określić dokładnie, czy miała mi za złe, że umieściłem ją w przytułku, i dyrektor znowu powiedział - tak. Ale tym razem nic nie dodał. Na inne pytanie odpowiedział, że był zdumiony moim spokojem w dniu pogrzebu. Spytano go, co rozumie przez spokój. Wówczas dyrektor przyjrzał się noskom swoich butów i powiedział, że nie chciałem zobaczyć mamy, ani razu nie zapłakałem, wyjechałem natychmiast po pogrzebie bez chwili skupienia i zadumy na jej grobie. Jeszcze jedna rzecz zdumiała go: któryś z pracowników zakładu pogrzebowego powiedział mu, że nie znałem wieku mamy. Zapadła chwila ciszy i przewodniczący spytał, czy w jego zeznaniach z pewnością chodziło o mnie. Ponieważ dyrektor nie zrozumiał pytania, wyjaśnił: „Takie jest prawo." Potem przewodniczący zwrócił się do prokuratora, czy chce zadać świadkowi jakieś pytania, ale oskarżyciel publiczny krzyknął: „Och nie, to wystarczy", tak gromko i z tak triumfującym spojrzeniem rzuconym w moją stronę, że po raz pierwszy od wielu lat miałem niemądrą ochotę zapłakać, gdyż poczułem, jak bardzo byłem znienawidzony przez

wszystkich zgromadzonych tu ludzi.

Zwróciwszy się pierwej do sędziów przysięgłych i do mego adwokata, czy nie mają jakichś pytań - przewodniczący zaczął przesłuchiwać dozorcę. Przy nim, jak i przy innych, powtórzył się ten sam ceremoniał. Przechodząc przez salę dozorca spojrzał na mnie i odwrócił oczy. Odpowiadał na pytania, które mu stawiano. Powiedział, że nie chciałem zobaczyć mamy, że paliłem, że spałem i że piłem kawę z mlekiem. I wtedy poczułem, że stało się coś, co wzburzyło całą salę, i po raz pierwszy zrozumiałem, że jestem winny. Kazano dozorcy powtórzyć historię z białą kawą i z papierosami. Prokurator spojrzał na mnie z ironicznym błyskiem w oczach. Jednocześnie mój obrońca spytał dozorcę, czy on sam nie palił razem ze mną. Ale prokurator zakwestionował gwałtownie to pytanie: „Któż jest tutaj zbrodniarzem i co to za metody, polegające na oczernianiu świadków oskarżenia, by pomniejszyć ich zeznania, które i tak nie przestają być druzgocące.” Mimo wszystko przewodniczący poprosił dozorcę, żeby odpowiedział na zadane mu pytanie. Stary odrzekł z zakłopotaną miną: „Ja wiem, że postąpiłem źle. Ale nie śmiałem odmówić papierosa, którym mnie pan poczęstował.” Na samym końcu zwrócono się do mnie pytając, czy nie mam nic do dodania. „Nie - odpowiedziałem - tyle tylko, że świadek ma słuszność. To prawda, że poczęstowałem go papierosem.” Wówczas dozorca spojrzał na mnie jak gdyby trochę zdumiony i jakoś wdzięczny. Zawahał się, a potem powiedział, że to on zaproponował mi kawę z mlekiem. Mój obrońca głośno triumfował i oświadczył, że sędziowie przysięgli wezmą to pod uwagę. Ale prokurator zagrzmiał nad naszymi głowami, mówiąc: „Tak, sędziowie przysięgli wezmą to pod uwagę i wyciągną wniosek, że obcy może zaproponować kawę, ale syn nie powinien jej przyjąć przy zwłokach tej, która dała mu życie.” Dozorca wrócił na swoje miejsce.

Kiedy przyszła kolej na Tomasza Perez, woźny musiał go podprowadzić, aż do samych kratek. Perez powiedział, że on znał jedynie moją matkę, a mnie widział raz tylko, w dniu pogrzebu. Spytano go, co robiłem tego dnia, odpowiedział: „Państwo rozumieją, mnie samemu było zbyt ciężko. Więc nic nie widziałem. Moje zmartwienie przeszkadzało mi widzieć cokolwiek. Ponieważ dla mnie to było bardzo wielkie zmartwienie. I nawet zemdlałem. Więc nie mogłem widzieć pana.” Prokurator spytał, czy w każdym razie widział, że płakałem. Perez odpowiedział, że nie. Wtedy z kolei powiedział prokurator: „Sędziowie przysięgli wezmą to pod uwagę.” Ale mój obrońca rozzłościł się. Spytał Pereza zirytowanym, jak mi się wydało, tonem: „Czy widział, że nie płakałem.” Perez odpowiedział: „Nie.” Publiczność śmiała się. A mój obrońca odwijając rękaw togi oświadczył stanowczo: „Oto obraz tego procesu. Wszystko jest prawdziwe i nic nie jest prawdziwe.” Prokurator siedział z nieprzeniknionym wyrazem twarzy: stukał ołówkiem w nagłówek akt.

Po pięciominutowej przerwie w obradach, w czasie której adwokat powiedział mi, że wszystko idzie jak najlepiej, przesłuchano Celestyna, którego wysunęła obrona. Obrona to

byłem ja. Celestyn rzucał od czasu do czasu spojrzenie w moją stronę i obracał w rękach panamę. Miał na sobie nowe ubranie, które wkładał, gdy szliśmy nieraz w niedzielę na wyścigi konne. Przypuszczam, że nie mógł docisnąć kołnierzyka, bo spiął koszulę miedzianą spinką. Spytano go, czy byłem jego klientem, a on powiedział: „Tak, ale był także przyjacielem"; co o mnie myśli, odpowiedział, że byłem człowiekiem; co przez to rozumie, oświadczył, że wszyscy wiedzą, co to oznacza; czy zauważył, że byłem skryty - przyznał, że milczałem, kiedy nie miałem nic do powiedzenia. Prokurator spytał, czy regularnie płaciłem moje należności. Celestyn uśmiechnął się i oświadczył: „To były drobiazgi między nami." Spytano go jeszcze, co myśli o mojej zbrodni. Wtedy oparł ręce o kratki i widać było, że się szykuje do wystąpienia. Powiedział: „Moim zdaniem to jest nieszczęście. Wszyscy wiedzą, co to jest nieszczęście. Ono czyni człowieka bezbronnym. No więc, dla mnie to jest nieszczęście." Chciał mówić dalej, ale przewodniczący powiedział, że to wystarczy i że mu dziękuje. Wtedy Celestyn zawahał się, trochę speszony. Oświadczył, że chce mówić dalej. Poproszono, żeby się streszczał. Znowu powtórzył, że to było nieszczęście. Przewodniczący powiedział: „Tak, w porządku. My jesteśmy tu po to, żeby sądzić tego rodzaju nieszczęścia. Dziękujemy panu." Wówczas Celestyn, jakby wyczerpawszy wszystkie swoje możliwości i całą dobrą wolę, zwrócił się ku mnie. Wydało mi się, że oczy mu się zaszkliły i wargi drżały. Miał taką minę, jakby mnie pytał, co jeszcze może uczynić. Nie powiedziałem ani jednego słowa, nie uczyniłem żadnego gestu, ale pierwszy raz w życiu miałem ochotę uścisnąć człowieka. Przewodniczący znowu nakazał mu opuścić kratki. Celestyn poszedł usiąść na sali. Aż do końca rozprawy siedział tak, nieco pochylony do przodu, z łokciami na kolanach, panamą w dłoniach, i słuchał wszystkiego, co mówią. Weszła Maria. Włożyła kapelusz, ale i tak była piękna. Wolałem ją jednak z odkrytą głową. Odgadywałem z mojego miejsca lekki ciężar jej piersi i dostrzegłem dolną wargę, zawsze nieco nabrzmiałą. Sprawiała wrażenie bardzo zdenerwowanej. Spytano ją od razu, jak długo mnie znała. Wymieniła okres, kiedy pracowała u nas w biurze. Przewodniczący chciał się dowiedzieć, jakiego rodzaju stosunek łączył ją ze mną. Powiedziała, że była moją przyjaciółką. Na inne pytanie odparła, że to prawda, że miała wyjść za mnie za mąż. Prokurator, kartkując akta, spytał ją szorstko, od kiedy datuje się nasz związek. Wymieniła datę. Zauważył z obojętną miną, iż wydaje mu się, że to było nazajutrz po śmierci mamy. Potem powiedział, nieco ironicznie, że nie chciałby obstawać przy tak delikatnych sprawach i że dobrze rozumie opory Marii, ale (tu głos nabrał twardego brzmienia) jego funkcja każe mu wznieść się ponad konwenans. Po czym poprosił Marię, żeby zwięźle opowiedziała dzień, w którym ją poznałem. Maria nie chciała mówić, ale wobec nalegań prokuratora opisała naszą kąpiel, kino i powrót do domu. Prokurator powiedział, że zapoznawszy się w śledztwie z zeznaniami Marii przestudiował programy kin z owego dnia. Dodał, że Maria sama powie, jaki film wtedy wyświetlano. Rzeczywiście powiedziała, głosem prawie bezbarwnym, że był to film z Fernandelem. Kiedy skończyła, na

sali panowała zupełna cisza. Wtedy podniósł się prokurator, był bardzo poważny i wskazując na mnie palcem wyrzekł z wolna głosem, który wydał mi się prawdziwie wzruszony: „Sędziowie przysięgli, ten człowiek nazajutrz po śmierci matki zażywał kąpieli, nawiązał nielegalny stosunek i poszedł się pośmiać na komiczny film. Nie mam wam nic więcej do powiedzenia.” Usiadł w ciszy, która trwała nieprzerwanie. Ale nagle Maria wybuchnęła łkaniem i powiedziała, że to nie tak, że te sprawy wyglądały inaczej, że zmuszono ją do powiedzenia rzeczy przeciwnych temu, co myślała, że zna mnie dobrze i że ja nie uczyniłem nic złego. Ale na znak przewodniczącego woźny wyprowadził ją i sesja toczyła się dalej.

Wszyscy ledwie słuchali, kiedy z kolei Masson oświadczył, że byłem porządnym człowiekiem i że „powie więcej, byłem uczciwym człowiekiem”. Również ledwie słuchano starego Salamano, kiedy przypominał, że byłem dobry dla jego psa, i kiedy odpowiadając na jedno z pytań dotyczących mojej matki i mnie oświadczył, że nie miałem o czym mówić z mamą i dlatego oddałem ją do przytułku. „Trzeba rozumieć - mówił Salamano - trzeba rozumieć.” Ale nikt nie zdawał się rozumieć. Wyprowadzono go.

Potem przyszła kolej na Rajmunda, który był ostatnim świadkiem. Rajmund skinął w moją stronę i natychmiast powiedział, że jestem niewinny. Ale przewodniczący oświadczył, że nie pytają go o zdanie, lecz o fakty. Poproszono go, żeby zanim odpowie, czekał na pytania, które mu postawią. Kazano mu określić jego związki z ofiarą. Rajmund wykorzystał to pytanie, by oświadczyć, że tamten nienawidził go od czasu, gdy spoliczkował jego siostrę. Jednakże przewodniczący spytał, czy ofiara nie miała powodów, żeby czuć do mnie nienawiść. Rajmund powiedział, że moja obecność na plaży była zupełnym przypadkiem. Wtedy prokurator spytał, jak więc to się stało, że list, który stanowił źródło dramatu, został napisany przeze mnie. Rajmund odpowiedział, że był to przypadek. Prokurator odparował mu jego własną bronią, mówiąc, że przypadek ma już wiele grzechów na sumieniu w tej sprawie. Chciał wiedzieć, czy przez przypadek nie zareagowałem, kiedy Rajmund spoliczkował swoją kochankę, czy przez przypadek świadczyłem w jego sprawie na policji i czy także przez przypadek w moich zeznaniach szedłem mu jak najbardziej na rękę. Na zakończenie spytał Rajmunda, z czego on żyje? A kiedy tamten odpowiedział: „Magazynier”, prokurator oznajmił przysięgłym, iż jest powszechnie wiadomo, że świadek uprawia zawód sutenera. Byłem jego przyjacielem i współwinowajcą. Mamy do czynienia z dramatem, który rozegrał się wśród mętów społecznych i jest tym bardziej plugawy, że jego sprawcą jest potwór moralny. Rajmund chciał się bronić, mój adwokat protestował, ale oświadczono im, że nie należy przerywać prokuratorowi. Prokurator powiedział: „Mam już niewiele do dodania. Czy oskarżony był przyjacielem świadka?” - spytał Rajmunda. „Tak - odpowiedział - to był mój kumpel.” Wtedy prokurator zadał mi to samo pytanie, spojrzałem na Rajmunda, nie odwrócił wzroku. Odpowiedziałem: „Tak.” Wówczas prokurator zwrócił się do sędziów przysięgłych i oświadczył: „Ten sam człowiek, który nazajutrz po śmierci matki oddawał się

najbezwstydniejszej rozpuście, zabił z błahego powodu, by położyć kres aferze obyczajowej nie mieszczącej się w żadnych kategoriach."

Po czym usiadł. Lecz mój obrońca kompletnie wyprowadzony z równowagi krzyknął wznosząc do góry ramiona (rękawy togi zsunęły się odsłaniając plisy wykrochmalonej koszuli): „Więc w końcu o co się go oskarża - o pogrzeb matki czy o zabójstwo człowieka?" Publiczność śmiała się. Ale prokurator podniósł się znowu, owinął togą i oświadczył, że trzeba posiadać naiwną ufność jego znakomitego kolegi, by nie wyczuć, że między tymi dwoma faktami istnieje związek istotny, głęboki i patetyczny. „Tak - wykrzyknął z mocą - oskarżam tego człowieka, że pogrzebał matkę ze spokojem zbrodniarza." Zdaje się, że to oświadczenie wywarło wielkie wrażenie na publiczności. Mój obrońca wzruszył ramionami i otarł pot, który pokrył mu czoło. Ale i on zdawał się tracić pewność, zrozumiałem więc, że sprawy nie układają się dla mnie dobrze.

Przesłuchanie świadków zostało zamknięte. Przechodząc z gmachu sądu do karetki więziennej rozpoznałem - na krótką chwilę - zapach i kolor letniego wieczoru. W ciemności mego więziennego wehikułu odnajdywałem jeden po drugim, jakby na dnie zmęczenia, wszystkie znajome odgłosy miasta, które kochałem, i tej szczególnej pory dnia, w której zazwyczaj czułem się dobrze. Krzyk gazeciarzy w łagodnym powietrzu, wolnym już od spiekoty, ostatnie ptaki na skwerach, nawoływania sprzedawców sandwiczy, zawodzenie tramwajów na ostrych zakrętach i ów zgiełk na niebie, nim noc zakołysze się nad portem - wszystko to układało mi się na nowo w niewidoczną marszrutę, którą znałem tak dobrze, nim dostałem się do więzienia. Tak, to była godzina, o której kiedyś, bardzo dawno temu, czułem się szczęśliwy. Czekał mnie wówczas sen, lekki i bez marzeń. A przecież coś się zmieniło, skoro z nastaniem jutrzejszego dnia odnajdę moją celę. Jak gdyby znajome szlaki wyznaczone na letnim niebie mogły równie łatwo prowadzić do więzienia, jak do niewinnych snów.

Zawsze, nawet na ławie oskarżonych, człowiek słucha z ciekawością, gdy o nim mówią. Mogę powiedzieć, że w swych przemówieniach i prokurator, i mój obrońca dużo o mnie mówili, chyba nawet więcej o mnie niż o mojej zbrodni. Czyż zresztą te przemówienia były tak różne? Mój obrońca wznosił ramiona i bronił winnego podając okoliczności łagodzące. Prokurator wyciągał rękę i wskazywał na karygodną winę bez okoliczności łagodzących. Jedna rzecz trochę mnie irytowała. Mimo iż byłem tym wszystkim bardzo zaprzątnięty, kusiło mnie nieraz, żeby się wtrącić. Lecz mój obrońca mówił mi wówczas: „Niech pan się nie odzywa, tak będzie lepiej dla pańskiej sprawy." Wyglądało na to, że całą sprawę traktują w pewnym sensie poza mną. Wszystko toczyło się bez mojego udziału. Decydowano o moim losie bez zapoznania się z moim zdaniem. Czasem miałem ochotę przerwać im wszystkim i powiedzieć: „No dobrze, ale kto tu właściwie jest oskarżonym? To ważne być oskarżonym. Ja również mam coś do powiedzenia." Ale, po namyśle, nie miałem nic do powiedzenia. Zresztą muszę przyznać, że satysfakcja, jaką daje zaprzątanie innych

swoją osobą, nie trwa długo. Na przykład mowa prokuratora bardzo szybko zaczęła mnie nudzić. Tylko niektóre fragmenty, gesty czy poszczególne zwroty, ale wyodrębnione z całości, uderzyły mnie lub zaciekawiły.

Podstawę jego rozumowania, o ile dobrze zrozumiałem, stanowiło przeświadczenie, że popełniłem zbrodnię z premedytacją. W każdym razie, chciał tego dowieść. Jak sam powiedział: „Udowodnię wam to, panowie sędziowie, udowodnię podwójnie. Najpierw w oślepiającej jasności faktów, a potem w mrocznym świetle psychologii tego zbrodniarza.” Streścił wydarzenia od dnia śmierci mamy. Przypominał moją obojętność, to, że nie znałem wieku mamy, kąpiel z kobietą nazajutrz po pogrzebie, kino, Fernandela i na koniec nasz powrót z Marią. W tym punkcie zrozumiałem go dopiero po chwili, ponieważ powiedział „jego kochanka”, a dla mnie to była Maria. Potem przeszedł do historii z Rajmundem. Przyznawałem, że jego pogląd na wydarzenia był jasny. To, co mówił, miało pozory prawdopodobieństwa. Napisałem w porozumieniu z Rajmundem list, żeby ściągnąć jego kochankę i wydać ją na pastwę człowieka o „wątpliwej moralności”. Sprowokowałem na plaży przeciwników Rajmunda. Ten ostatni został ranny. Poprosiłem go o rewolwer. Wróciłem sam, żeby się nim posłużyć. Zastrzeliłem Araba, tak jak to sobie zaplanowałem. Odczekałem chwilę. I „żeby być pewnym, że robota została dobrze wykonana”, oddałem jeszcze cztery strzały powoli i bez ryzyka, jakby z premedytacją.

„To wszystko, sędziowie przysięgli - powiedział prokurator. - Nakreśliłem przed wami bieg zdarzeń, które zaprowadziły tego człowieka do popełnienia zbrodni z pełną świadomością. Kładę na to nacisk - powiedział. - Ponieważ nie chodzi tu o zwykłe morderstwo, czyn nieprzemyślany, który moglibyście usprawiedliwić okolicznościami. Ten człowiek jest człowiekiem inteligentnym. Słyszeliście go, prawda? Wie, jak odpowiadać. Zna wartość słów. I nie można powiedzieć, by mógł uczynić cokolwiek nie zdając sobie sprawy z tego, co robi.”

Słuchałem go i posłyszałem, jak mówi, że jestem inteligentny. Ale nie bardzo mogłem zrozumieć, jak to się dzieje, że dodatnie cechy zwykłego człowieka stają się druzgocącym obciążeniem dla oskarżonego. Mnie przynajmniej bardzo to zastanowiło i przestałem słuchać prokuratora aż do momentu, gdy usłyszałem, jak mówił: „Czy chociaż wyraził skruchę? Nigdy, panowie sędziowie. Ten człowiek ani razu w czasie śledztwa nie zdawał się być poruszony swoją ohydną zbrodnią.” W tym momencie zwrócił się ku mnie i wskazując mnie palcem ciągnął dalej swe oskarżenie, podczas gdy ja w gruncie rzeczy nie bardzo wiedziałem dlaczego. Zapewne, nie mogłem mu odmówić racji. Nie odczuwałem wielkiego żalu z powodu mego postępku. Ale taka zawziętość zdumiewała mnie. Chciałem spróbować wyjaśnić mu serdecznie, nawet z sympatią, że ja nigdy nie byłem w stanie prawdziwie żałować czegokolwiek. Zawsze pochłaniało mnie to, ca mogło się zdarzyć dziś albo jutro. Ale oczywiście w sytuacji, w której mnie postawiono, nie mogłem z nikim rozmawiać w ten

sposób. Nie miałem prawa być serdecznym, okazać dobrą wolę. Więc znowu spróbowałem słuchać, ponieważ prokurator przystąpił do mówienia o mojej duszy.

Powiedział, że rozmyślał nad nią i że nic w niej nie znalazł, panowie przysięgli. Powiedział, że ja naprawdę nie mam duszy i że nic, co ludzkie, ani jedna z zasad moralnych, które strzegą serca człowieka, nie ma do mnie przystępu, „Zapewne - dorzucił - nie powinniśmy go tym obciążać. Nie powinniśmy się litować, że brak mu czegoś, co nie jest mu dostępne. Ale z chwilą gdy jesteśmy w sądzie, bierna cnota tolerancji musi się przeobrazić w mniej łatwą, lecz bardziej podniosłą, cnotę sprawiedliwości. Zwłaszcza jeśli taka pustka serca, jaką odkryliśmy w tym człowieku, staje się otchłanią, która może zagrażać społeczeństwu.” Wtedy właśnie powiedział o moim stosunku do mamy. Powtórzył to, co już raz mówił w czasie rozprawy. Ale rozwodził się nad tym znacznie dłużej niż nad moją zbrodnią, tak długo, że wreszcie przestałem odczuwać cokolwiek poza żarem owego poranka. Przynajmniej do momentu, gdy prokurator zatrzymał się i po chwili ciszy podjął głosem bardzo niskim i bardzo przejmującym: „Ta sama ława, sędziowie przysięgli, będzie jutro sądziła najohydniejszą ze zbrodni: ojcobójstwo.” Jego zdaniem, wyobraźnia cofa się przed tym okrutnym czynem. Spodziewa się, że sprawiedliwość ludzka wymierzy karę z całą surowością. Ale, nie lęka się tego powiedzieć, zgroza, jaką odczuwa wobec tamtej zbrodni, nie dorównuje tej, jaką budzi w nim moja obojętność. Jego zdaniem, człowiek, który zabija moralnie swoją matkę, wykreśla się ze społeczności ludzkiej z tych samych powodów co ten, który podniósł rękę na sprawcę swego życia. W każdym razie, pierwszy przygotowuje uczynki drugiego, zapowiada je i w pewnym sensie sankcjonuje. „Jestem przekonany, panowie przysięgli - dodał podnosząc głos - że nie uznacie mej myśli za zbyt śmiałą, jeśli powiem, że ten człowiek, który siedzi na ławie oskarżonych, jest również winny tej zbrodni, którą ława przysięgłych będzie sądzić jutro. Trzeba zatem, by został ukarany.” Tu prokurator otarł twarz lśniącą od potu. Powiedział wreszcie, że jego obowiązek jest bolesny, ale że spełni go z całą stanowczością. Oświadczył, że nie mam nic do roboty w społeczeństwie, którego podstawowych praw nie uznaję, nie mogę również odwoływać się do serca ludzkiego, ponieważ jego najbardziej elementarne odruchy są mi nie znane. „Żądam od was głowy tego człowieka, z lekkim sercem żądam jej od was, bo jeśli zdarzało mi się w czasie mojej długiej już praktyki domagać się kary śmierci, nigdy nie odczułem tak wyraźnie jak dziś, że mój ciężki obowiązek wynagradza, wyrównuje, opromienia świadomość nadrzędnego i świętego nakazu oraz zgroza, jaką odczuwam wobec twarzy tego człowieka, w której odczytuję jedynie potworność.”

Kiedy prokurator usiadł, zapadła długa cisza. Oszołomił mnie upał i zdumienie. Przewodniczący lekko zakaszlał i spytał bardzo cicho, czy nie mam nic do dodania. Podniosłem się i ponieważ miałem ochotę mówić, oświadczyłem na chybił trafił, że nie zamierzałem zabić Araba. Przewodniczący stwierdził, że to jest z mojej strony oświadczenie,

że dotychczas nie rozumiał mego systemu obrony, i nim wysłucha przemówienia mego obrońcy, będzie bardzo rad, jeśli wyłuszczę motywy, które skłoniły mnie do tego czynu. Powiedziałem bardzo szybko, plącząc słowa i zdając sobie sprawę z własnej śmieszności, że to stało się z powodu słoika. Na sali rozległy się śmiechy. Mój obrońca wzruszył ramionami, w chwilę potem udzielono mu głosu. Ale on oświadczył, że jest już późno, że przemówienie zajmie mu parę godzin, więc prosi o odroczenie sprawy do popołudnia. Sąd przystał na to.

Po południu wielkie wentylatory rozgarniały bez przerwy gęste powietrze na sali, a małe wachlarzyki sędziów przysięgłych poruszały się miarowo. Zdawało mi się, że mowa mego obrońcy nigdy się nie skończy. Jednak w pewnej chwili zacząłem się przysłuchiwać, ponieważ powiedział: „To prawda, zabiłem." Potem ciągnął w tym samym stylu, używając słowa „ja", za każdym razem, gdy mówił o mnie. Byłem bardzo zdumiony. Nachyliłem się do strażnika i spytałem, co to znaczy. Kazał mi siedzieć cicho, a po chwili dorzucił: „Wszyscy adwokaci tak robią." Ja jednak byłem zdania, że to jest znowu usuwanie mnie ze sprawy, redukowanie mojej roli do zera i w pewnym sensie podszywanie się pod moją osobę. Ale, jak sądzę, byłem już daleko od sali rozpraw. Zresztą mój obrońca wydawał mi się komiczny. O samym wydarzeniu mówił bardzo krótko, a potem on również zaczął rozwodzić się nad moją duszą. Ale robił wrażenie znacznie mniej zdolnego od prokuratora. „Ja również - powiedział - rozmyślałem nad tą duszą, lecz w przeciwieństwie do znakomitego przedstawiciela oskarżenia publicznego odkryłem tam pewne rzeczy i mogę powiedzieć, że czytałem w tej duszy jak w otwartej księdze." Wyczytał w niej, że jestem szlachetnym człowiekiem, sumiennym pracownikiem, oddanym firmie, w której pracowałem, lubianym przez wszystkich, pełnym współczucia dla cudzego nieszczęścia. Wedle niego, byłem wzorowym synem, który utrzymywał swą matkę tak długo, jak tylko mógł. W końcu spodziewałem się, że przytułek zapewni starej kobiecie wygody, których ja przy swoich zarobkach nie mogłem jej ofiarować. „Dziwi mnie, sędziowie przysięgli - dorzucił - że zrobiono wokół tego przytułku tyle hałasu. Bo w końcu, jeśli trzeba by uzasadniać potrzebę i szlachetność tego typu instytucji, należy wyraźnie powiedzieć, że subwencjonuje je samo państwo." Nie powiedział tylko nic o pogrzebie i czułem, że zabrakło tego momentu w jego mowie obrończej. Ale na skutek tych długich zdań, tych dni i nie kończących się godzin, podczas których mówiono o mojej duszy, odniosłem wrażenie, że wszystko stało się jak bezbarwna woda, która przyprawia mnie o zawrót głowy.

Na koniec przypominam sobie już tylko, że podczas gdy mój obrońca ciągle przemawiał, dotarł do mnie aż tu poprzez wszystkie sale i korytarze dźwięk trąbki sprzedawcy lodów. Zostałem osaczony przez wspomnienia z tamtego życia, które nie należało już do mnie, ale w którym odnalazłem najbardziej ubogie i najbardziej trwałe z moich radości - zapach lata, dzielnicę, którą kochałem, wieczorne niebo, uśmiech i suknie Marii. I naraz schwycił mnie za gardło bezsens wszystkiego, co tutaj robiłem i zapragnąłem już tylko

jednego - skończyć z tym jak najszybciej, znaleźć się w celi i zasnąć. Ledwie dosłyszałem, jak mój obrońca wykrzyknął kończąc, że sędziowie przysięgli nie zechcą skazać na śmierć uczciwego pracownika, zgubionego przez minutę zamroczenia i prosił o uwzględnienie okoliczności łagodzących zbrodnię, za którą i tak poniosłem już najcięższą karę - wieczny wyrzut sumienia. Sąd zawiesił rozprawę, obrońca usiadł wyczerpany. Ale jego koledzy podchodzili by mu uścisnąć rękę. Usłyszałem: „Wspaniale, mój drogi." Jeden wziął mnie nawet za świadka mówiąc: „Świetnie, co?" Przystałem na to, lecz moje uznanie nie było szczere, ponieważ czułem się bardzo zmęczony.

Na dworze odmieniła się pora dnia i upał był mniejszy. Po para odgłosach, które mnie doszły z ulicy, odgadłem łagodność wieczoru. My wszyscy zostaliśmy na swoich miejscach czekając. Ale to, na cośmy wspólnie oczekiwali, dotyczyło tylko mnie. Znowu spojrzałem na salę. Wyglądała tak samo jak pierwszego dnia. Napotkałem wzrok dziennikarza w szarym ubraniu i tej małej „kobiety-automatu". Uświadomiłem sobie, że ani razu w czasie całego procesu nie spojrzałem na Marię. Pamiętałem o niej, lecz byłem zbyt zajęty. Dojrzałem ją między Celestynem a Rajmundem. Skinęła mi, jak gdyby mówiąc „nareszcie", i zobaczyłem jej nieco zalęknioną, lecz mimo to uśmiechniętą twarz. Ale czułem, że moje serce zamknęło się, i nawet nie byłem w stanie odpowiedzieć na jej uśmiech.

Sąd wrócił. Bardzo szybko odczytano przysięgłym szereg pytań. Posłyszałem: „Winny zbrodni", „Premedytacja", „Okoliczności łagodzące". Przysięgli wyszli, a mnie zaprowadzono do małego pokoju, w którym już poprzednio czekałem. Mój adwokat odszukał mnie tu, był bardzo ożywiony i rozmawiał ze mną tak szczerze i serdecznie jak nigdy dotąd. Przypuszczał, że wszystko będzie dobrze i że wyjdę z tego z paroma latami więzienia lub galer. Spytałem, czy istnieje możliwość kasacji na wypadek niepomyślnego wyroku. Powiedział, że nie. Jego taktyka polega na tym, że nie składał żadnych wniosków, nie chciał źle usposobić przysięgłych. Wyjaśnił mi, że nie uchyla się wyroku ot tak, bez powodu. Wydało mi się to zupełnie oczywiste i uznałem słuszność jego argumentów Rozważywszy rzecz całą na zimno, to było całkiem naturalne. W przeciwnym razie uzbierałoby się zbyt wiele niepotrzebnych papierów. „W każdym razie - powiedział adwokat - zostaje jeszcze prośba o ułaskawienie. Ale jestem przekonany, że wyrok będzie pomyślny."

Czekaliśmy bardzo długo, chyba ze trzy kwadranse. Potem zadźwięczał dzwonek. Mój obrońca opuścił mnie mówiąc: „Przewodniczący ławy przysięgłych odczyta teraz odpowiedzi. Pana wprowadzą dopiero na orzeczenie sądu." Zaczęły trzaskać drzwi. Ludzie biegali po schodach, o których nie wiedziałem nawet, czy są daleko, czy blisko. Potem usłyszałem stłumiony głos, który odczytywał coś na sali. Kiedy ponownie zadźwięczał dzwonek i drzwi pokoju otworzyły się, owładnęła mną cisza panująca na sali, cisza i owo dziwne uczucie, jakiego doznałem stwierdziwszy, że miody dziennikarz odwrócił oczy. Nie spojrzałem w stronę Marii. Nie miałem na to czasu, ponieważ przewodniczący powiedział w

dziwacznej formie, że zetną mi głowę na publicznym placu, w imieniu ludu francuskiego. Zdaje mi się, że odgadłem wówczas uczucie, które malowało się na wszystkich twarzach. Jestem głęboko przekonany, że był to szacunek. Żandarmi byli dla mnie bardzo uprzejmi. Adwokat położył rękę na mojej dłoni. Nie myślałem już o niczym. Ale przewodniczący spytał, czy nie mam nic do dodania. Zastanowiłem się. Powiedziałem: „Nie.” Wtedy wyprowadzono mnie.

Po raz trzeci odmówiłem przyjęcia kapelana. Nie miałem mu nic do powiedzenia, nie miałem chęci na rozmowę, a i tak zobaczę go wystarczająco szybko. Jak wymknąć się z mechanizmu, jak przekonać się, czy może istnieć wyjście z rzeczy nieuchronnej - oto, co obchodziło mnie w tym momencie. Zmieniono mi celę. Tutaj leżąc, widzę niebo i nic poza nim. Całymi dniami obserwuję, jak na jego obliczu odmieniają się barwy prowadząc dzień ku nocy. Leżę z rękami pod głową i czekam. Nie wiem, ile już razy zadawałem sobie pytanie, czy były wypadki, że skazani na śmierć wymknęli się z nieubłaganego mechanizmu, znikli przed egzekucją, przerwali kordony milicji. Czyniłem sobie wyrzuty, że poświęcałem dotąd niewiele uwagi opisom egzekucji. Zawsze należy interesować się tymi sprawami. Nigdy nie wiadomo, co może się zdarzyć. Czytałem, jak wszyscy, sprawozdania w dziennikach. Ale istniały z pewnością dzieła specjalne, do których nigdy nie byłem ciekaw zajrzeć. A tam, być może, znalazłbym opisy ucieczek. Dowiedziałbym się, że przynajmniej w jednym wypadku koło zatrzymało się, że w tym niepowstrzymanym pędzie przypadek lub szczęście choć raz jeden coś zmieniły. Raz jeden! Sądzę, że w jakimś sensie to by mi wystarczyło. Moje serce dopowiedziałoby resztę. Dzienniki mówiły często o długu należnym społeczeństwu. Trzeba go, wedle nich, spłacić. Ale to nie przemawia do wyobraźni. Liczyła się tylko możliwość ucieczki, skok ponad bezlitosnym rytuałem, szalony bieg, który ofiarowywał wszystkie szanse nadziei. Oczywiście nadzieja to zostać zastrzelonym na rogu ulicy, w pełnym biegu, przelatującą kulą. Ale rozważywszy wszystko dokładnie, nic nie pozwalało sądzić, że danym mi będzie ten luksus, wszystko mi go wzbraniało, mechanizm wciągał mnie od nowa.

Pomimo dobrej woli, nie mogłem pogodzić się z tą wyzywającą pewnością. Gdyż w końcu istniał śmieszny rozdźwięk między wyrokiem, który ją uzasadniał, a niczym niewzruszonym przebiegiem rzeczy od momentu, gdy ów wyrok zapadł. Fakt, że orzeczenie sądu zostało odczytane o ósmej, a równie dobrze mogło to nastąpić o piątej, fakt, że mogło ono być zupełnie inne, że zostało powzięte przez ludzi, którzy zmieniali bieliznę, że wydano je w imię pojęć tak nieokreślonych jak naród francuski (czy niemiecki, czy chiński), wszystko to według mnie ujmowało wiele powagi takiemu rozstrzygnięciu. Jednakże muszę przyznać, że od tej sekundy, kiedy ono zapadło, jego skutki stawały się równie poważne, równie namacalne jak ściana, o którą rozgniatałem ciało.

W tym czasie przypomniałem sobie pewną historię, jaką mama opowiadała mi o moim ojcu. Nie znałem go. Być może wiedziałem dokładnie o tym człowieku tylko to, co wówczas

powiedziała mi mama: poszedł zobaczyć egzekucję jakiegoś mordercy. Robiło mu się słabo na myśl, że tam pójdzie. Poszedł jednak, a po powrocie wymiotował przez pół dnia. Wtedy czułem do ojca lekki wstręt. Teraz rozumiałem go, to było takie proste. Jakże mogłem nie dostrzec, że nie ma nic ważniejszego jak wykonanie wyroku śmierci i że w gruncie rzeczy była to jedyna rzecz naprawdę dla człowieka interesująca! Gdybym kiedyś wyszedł z tego więzienia, chodziłbym oglądać wszystkie egzekucje. Sądzę, że źle robiłem rozważając taką możliwość. Gdyż na myśl, że wczesnym rankiem stoję wolny, poza kordonem policji - poniekąd po drugiej stronie - na myśl, że jestem widzem, który przyszedł popatrzeć i potem może wymiotować, fala trującej radości podchodziła mi do serca. A to nie było rozsądne. Źle robiłem dając się ponieść takim przypuszczeniom, ponieważ w chwilę potem było mi tak okropnie zimno, że kuliłem się cały pod kocem. Szczękałem zębami i nie mogłem nad tym zapanować.

Ale oczywiście nie można być zawsze rozsądnym. Innym razem na przykład układałem projekty ustaw. Reformowałem postępowanie karne. Stwierdziłem, że najważniejszą rzeczą jest dać pewną szansę skazanemu, jedną na tysiąc, to już wystarczyłoby, żeby naprawić mnóstwo rzeczy. I tak wydało mi się, że można by wynaleźć związek chemiczny, który, zaaplikowany, zabijałby skazanego na śmierć (myślałem - skazanego na śmierć) w dziewięciu na dziesięć wypadków. On wiedziałby o tym, to był warunek. Gdyż po namyśle, rozpatrzywszy rzecz całą spokojnie, dochodziłem do wniosku, że ujemną stroną gilotyny było to, iż nie pozostawiała żadnej szansy, absolutnie żadnej. Słowem, śmierć skazanego została raz na zawsze przesądzona. To była rzecz zamknięta, sprawa ustalona, porozumienie zawarte, do którego nie ma po co wracać. Jeśli nóż, rzadkim trafem, chybił - zaczynano od nowa. W rezultacie niemiłe było to, że skazany powinien życzyć sobie dobrego funkcjonowania maszyny. Twierdzę, że jest to ujemna strona gilotyny. Co prawda tylko z pewnego punktu widzenia. Bo z innego, cała tajemnica dobrej organizacji mieści się właśnie w tym. Słowem, skazany, musiałem przyznać, zostaje zmuszony do współpracy moralnej. W jego interesie leży, żeby wszystko poszło bez przeszkód.

Musiałem również stwierdzić, że dotychczas miałem o tych sprawach błędne wyobrażenie. Sądziłem długo - nie wiem nawet dlaczego - że idąc na gilotynę, należało wstąpić na szafot, wspiąć się po stopniach. Sądzę, że wiązało się to z rewolucją 1789 roku - to znaczy z tym wszystkim, czego mnie o tych sprawach nauczono lub co mi pokazano. Lecz pewnego ranka przypomniałem sobie fotografię zamieszczoną w gazetach w związku z jakąś głośną egzekucją. W rzeczywistości maszyna ustawiona była po prostu na ziemi, najzwyczajniej w świecie. Była o wiele węższa, niż sądziłem. To dość zabawne, że nie wiedziałem o tym wcześniej. Maszyna na zdjęciu uderzyła mnie precyzją wykonania, starannym wykończeniem i połyskiem. Człowiek zawsze ma przesadne wyobrażenie o tym, czego nie zna. Musiałem natomiast stwierdzić, że odwrotnie - wszystko było bardzo proste:

maszyna stoi na tym samym poziomie co człowiek, który się do niej zbliża. Podchodzi do niej, jakby szedł na spotkanie z żywą osobą. To także jest niemiłe. Wchodzenie na szafot, zbliżanie się do nieba - wyobraźnia miała się o co zaczepić. Podczas gdy tu mechanizm znowu druzgotał wszystko: zabijano człowieka dyskretnie, nieco wstydliwie i bardzo precyzyjnie.

Były jeszcze dwie sprawy, nad którymi rozmyślałem ciągle: świt i moja prośba o ułaskawienie. Chciałem być jednak rozsądny i nie myśleć o tym. Kładłem się, patrzyłem na niebo i starałem się nim zainteresować. Stawało się zielone - był wieczór. Robiłem jeszcze jeden wysiłek, żeby odwrócić bieg moich myśli. Wsłuchiwałem się w bicie serca. Nie mogłem sobie wyobrazić, że ten odgłos, który towarzyszył mi od tak dawna, może kiedyś ustać. Nigdy nie miałem prawdziwej wyobraźni. Usiłowałem jednak wyobrazić sobie ową sekundę, kiedy bicie serca nie znajdzie już swego przedłużenia w moich skroniach. Ale na próżno. Świt i moja prośba o ułaskawienie były obecne. W końcu zdecydowałem, że najrozsądniej będzie nie sprzeciwiać się sobie.

Przychodzili o świcie. Wiedziałem o tym. W rezultacie noce wypełniało mi oczekiwanie na ów świt. Nigdy nie lubiłem być zaskoczony; kiedy ma mnie coś spotkać, wolę być na miejscu. Wskutek tego sypiałem tylko trochę w ciągu dnia, a całe noce cierpliwie oczekiwałem, aż na tafli nieba zrodzi się światło. Najtrudniejsze były te niepewne godziny, kiedy wiedziałem, że mają zwyczaj przychodzić. Po północy czekałem, czatowałem na nich. Nigdy moje ucho nie zarejestrowało tylu odgłosów, odróżniając ich ton i nasilenie. Mogę powiedzieć, że do pewnego stopnia miałem szczęście w tym okresie; ponieważ ani razu nie usłyszałem kroków. Mama mówiła często, że człowiek nie jest nigdy zupełnie nieszczęśliwy. Przyznawałem jej rację, kiedy niebo nabierało barw i dzień wślizgiwał się do mojej celi. Bo również dobrze mógłbym był posłyszeć kroki i moje serce mogło pęknąć. I chociaż najlżejszy szelest rzucał mnie do drzwi, chociaż z uchem przyciśniętym do framugi czekałem jak oszalały, by w końcu posłyszeć własny oddech i przestraszyć się, że jest tak chrapliwy, podobny do charczenia psa, to jednak w rezultacie moje serce nie pękło i zyskałem jeszcze dwadzieścia cztery godziny.

Przez cały dzień istniała również sprawa mojej prośby o ułaskawienie. Sądzę, że ustosunkowałem się do niej najrozsądniej, jak mogłem. Obliczyłem stan posiadania i wyciągnąłem największy zysk z moich myśli. Zakładałem najgorszą możliwość: moja prośba o ułaskawienie została odrzucona. „A więc umrę.” Wcześniej niż inni, to jasne. Ale przecież wszyscy wiedzą, że życie nie jest wcale warte trudu przeżywania. W gruncie rzeczy dokładnie zdawałem sobie sprawę, że to nie ma znaczenia, czy się umiera w trzydziestym czy w siedemdziesiątym roku życia, ponieważ jest oczywiste, że w obydwu wypadkach inni mężczyźni i inne kobiety żyć będą dalej, i to przez tysiące lat. Słowem, nie ma nic bardziej oczywistego. To zawsze ja bym umierał, teraz czy za dwadzieścia lat. W tym momencie

przeszkadzał mi jednak w rozumowaniu potworny skurcz, jakiego doznawałem na myśl o tych dwudziestu latach, które miałbym do przeżycia. Musiałem to przemóc wyobrażając sobie, czym byłyby moje myśli za lat dwadzieścia, gdy stanąłbym wszelako przed tym samym. Z chwilą gdy się umiera, słowa „jak" i „kiedy" nie mają oczywiście żadnego znaczenia. A więc (trudność polegała na tym, by nie zgubić wyrozumowanego sensu tego „a więc"), a więc musiałem się pogodzić z odrzuceniem mojej prośby o ułaskawienie.

Z tą chwilą, dopiero z tą chwilą, miałem, by tak rzec, prawo, udzielałem sobie zezwolenia na przystąpienie do drugiej możliwości: zostałem ułaskawiony. Męczyło mnie, że musiałem opanować płomienny poryw krwi i ciała, który mącił mi wzrok niedorzeczną radością. Musiałem uczynić wysiłek, by powściągnąć ten krzyk i wyperswadować go sobie. Musiałem zachować się naturalnie nawet w tym drugim wypadku, by uprawdopodobnić swoją rezygnację w pierwszym; wtedy, kiedy mi się to udawało, zdobywałem godzinę spokoju. Tak czy inaczej to było nie do pogardzenia.

Właśnie w takiej chwili raz jeszcze odmówiłem przyjęcia kapelana. Leżąc, odgadywałem po szczególnej jasności nieba zbliżanie się letniego wieczoru. Przed chwilą odrzuciłem moją prośbę o ułaskawienie i czułem, jak fale krwi zaczynają krążyć we mnie miarowo. Nie czułem potrzeby widzenia kapelana. Po raz pierwszy od długiego czasu myślałem o Marii. Od wielu dni nie pisała do mnie. Tego wieczoru zastanowiłem się nad tym i przyszło mi na myśl, czy nie zmęczyło jej to, że jest kochanką skazanego na śmierć. Pomyślałem również, że może zachorowała lub umarła. To mieściło się w porządku rzeczy. Jakże mogłem cokolwiek o tym wiedzieć, jeśli poza związkiem naszych dwu ciał, teraz rozdzielonych, nic nas nie łączyło i nie przypominało jednemu o drugim. Od tej chwili zresztą wspomnienia o Marii stałyby mi się obojętne. Nieżywa, nie interesowała mnie więcej. Uważałem to za normalne, rozumiejąc bardzo dobrze, iż ludzie zapomną o mnie po mojej śmierci. Nie mieliby już co począć ze mną. Nie mogę nawet powiedzieć, żeby było mi ciężko o tym pomyśleć.

Akurat w tym momencie wszedł kapelan. Kiedy go zobaczyłem, poczułem lekki dreszcz. Spostrzegł to i powiedział, żebym się nie bał. Odrzekłem, że zazwyczaj przychodzi o innej porze. Powiedział, że jest to wizyta czysto przyjacielska, która nie ma żadnego związku z moją prośbą o ułaskawienie, o której losach nic zresztą nie wie. Usiadł na pryczy i poprosił, żebym zajął miejsce obok niego. Odmówiłem. Zauważyłem, że mimo to miał bardzo łagodny wyraz twarzy.

Siedział chwilę z rękami wspartymi o kolana, z głową spuszczoną, przyglądając się swoim dłoniom. Były kształtne i muskularne, przy wodziły na myśl zwinne zwierzątka. Powoli pocierał jedną o drugą. Potem siedział z głową opuszczoną tak długo, że w pewnym momencie ogarnęło mnie wrażenie, jakbym o nim zapomniał.

Ale on raptownie podniósł głowę i spojrzał mi prosto w twarz: „Dlaczego - powiedział

- nie zgadzasz się na moje odwiedziny?" Odpowiedziałem, że nie wierzę w Boga. Chciał wiedzieć, czy jestem tego zupełnie pewien; powiedziałem, że nie zadaję sobie takich pytań, to zagadnienie wydaje mi się bez znaczenia. Odchylił się wówczas do tyłu i oparł plecami o mur, dłonie położył płasko na udach. Jak gdyby nie zwracając się do mnie, zauważył, że czasem jesteśmy czegoś pewni, a w rzeczywistości tak nie jest. Nic nie powiedziałem. Spojrzał na mnie i spytał: „Co pan o tym myśli?" Odpowiedziałem, że to jest możliwe. Lecz jeśli nawet nie jestem pewny tego, co mnie rzeczywiście interesuje, to z całą pewnością wiem, co mnie nie interesuje. I właśnie to, o czym mówił, nie interesuje mnie.

Odwrócił oczy i ciągle nie zmieniając pozycji spytał, czy nie mówię tego w przystępie rozpaczy. Wyjaśniłem mu, że nie jestem zrozpaczony. Boję się tylko, ale to jest zupełnie naturalne. „Pan Bóg ci wtedy pomoże - zauważył. - Wszyscy, których widywałem w twoim położeniu, zwracali się ku niemu." Uznałem, że to ich rzecz. Świadczyło to również, że mieli czas. Co do mnie, nie chcę, żeby mi pomagano, i naprawdę brak mi czasu, żeby się interesować tym, co mnie nie interesuje.

W tym momencie jego dłonie uczyniły gest rozdrażnienia, ale szybko opanował się i zaczął układać fałdy sutanny. Kiedy skończył, zwrócił się do mnie: „Mój przyjacielu"; jeśli mówił tak do mnie, to nie dlatego, że byłem skazany na śmierć; jego zdaniem, wszyscy jesteśmy skazani na śmierć. Przerwałem mu mówiąc, że to nie jest to samo, i zresztą w żadnym wypadku nie może stanowić pocieszenia. „Zapewne - zgodził się ze inną. - Ale i tak umrze pan kiedyś, jeśli nie umrze pan dzisiaj. Wyłoni się więc to samo pytanie. Jak przystąpi pan do tej straszliwej próby?" Odpowiedziałem, że przystąpię do niej zupełnie tak samo, jak przystępuję w tej chwili.

Przy tych słowach podniósł się i spojrzał mi prosto w oczy. Jest to gra, którą dobrze znałem. Bawiliśmy się w nią z Emanuelem i Celestynem i na ogół to oni odwracali oczy. Kapelan również znał tę grę, od razu to zrozumiałem: powieka jego nie drgnęła. Nie drgnął również jego głos, kiedy powiedział: „Nie ma pan więc żadnej nadziei i żyje pan z myślą, że umrze pan cały, bez reszty?" „Tak" - odpowiedziałem.

Wówczas spuścił głowę i usiadł. Powiedział, że mnie żałuje. Sądził, że człowiek nie może tego znieść. Ja jednak czułem tylko jedno, że zaczyna mnie nudzić. Teraz z kolei ja się odwróciłem i podszedłem do okienka. Oparłem się plecami o mur. Mimo roztargnienia usłyszałem, że znowu zaczyna mnie wypytywać. Mówił głosem niespokojnym i nalegającym. Zrozumiałem, że jest wzruszony, i zacząłem się przysłuchiwać uważniej.

Wyraził pewność, że moja prośba o ułaskawienie zostanie przyjęta, ale że dźwigam brzemię grzechu, z którego muszę się uwolnić. Jego zdaniem, sprawiedliwość ludzka jest niczym, a wszystkim jest sprawiedliwość Boga. Zauważyłem, że to sprawiedliwość ludzka skazała mnie na śmierć. Odparł, że nie zmyła jednak mego grzechu. Powiedziałem, że nie wiem, co to jest grzech. Oznajmiono mi tylko, że jestem winny. Jestem winny, płacę, nie

można niczego więcej ode mnie wymagać. W tym momencie wstał na nowo, a ja pomyślałem, że w tej celi tak wąskiej, jeśli się chce poruszyć, nie ma wyboru. Mógł jedynie albo siedzieć, albo stać.

Miałem oczy wbite w ziemię. Uczynił krok w moim kierunku i zatrzymał się, jak gdyby nie śmiał iść dalej. Poprzez kraty spoglądał na niebo. „Mylisz się, mój synu - powiedział - można by od ciebie żądać więcej. I być może zażądają tego.” - „Czego”? - „Mogą zażądać, żebyś ujrzał.” - „Co ujrzał?”

Kapelan rozejrzał się wokół i odezwał się głosem, który wydał mi się nagle bardzo zmęczony: „Te wszystkie kamienie ociekają cierpieniem, wiem o tym. Nigdy nie spoglądałem na nie bez udręki. Ale wiem w głębi serca, iż najbardziej nieszczęśni spośród was widzą, jak wyłania się z ciemności oblicze Boga. Zażądają od pana, żeby pan ujrzał to oblicze.”

Ożywiłem się nieco. Powiedziałem, że od miesięcy przyglądam się tym murom. Nie istnieje na świecie nic ani nikt, kogo znałbym lepiej. Być może, kiedyś, bardzo dawno, szukałem tu jakiejś twarzy. Ale ta twarz miała barwę słońca i płomień pożądania: to była twarz Marii. Szukałem jej na próżno. Teraz to się skończyło. W każdym razie, nie widziałem, żeby cokolwiek wyłaniało się z tych ociekających kamieni.

Kapelan spojrzał na mnie z odcieniem smutku. Stałem wsparty plecami o ścianę, a dzień spływał po moim czole. Powiedział parę słów, których nie dosłyszałem, i spytał bardzo szybko, czy pozwolę, żeby mnie uścisnął. „Nie” - odpowiedziałem. Odwrócił się, podszedł do ściany i wolno przeciągnął po niej ręką. „Kocha pan więc tę ziemię do tego stopnia?” - szepnął. Nic nie odpowiedziałem.

Długo stał odwrócony. Jego obecność ciążyła mi i drażniła mnie. Już chciałem mu powiedzieć, żeby sobie poszedł i zostawił mnie, ale on nagle wybuchnął i krzyknął zwracając się do mnie: „Nie, nie mogę panu uwierzyć. Jestem pewien, że zdarzało się panu pragnąć innego życia.” Odpowiedziałem, że oczywiście tak było, ale to miało nie większe znaczenie, niż gdybym pragnął być bogatym lub bardzo szybko pływać czy mieć ładniejsze usta. Sprawa tego samego rzędu. Powstrzymał mnie, był ciekaw, jak sobie wyobrażałem to inne życie. Krzyknąłem wówczas: „Życie, w którym mógłbym wspominać obecne”, i natychmiast potem powiedziałem mu, że mam już tego dosyć. Chciał mi znowu mówić o Bogu, ale podszedłem do niego i usiłowałem mu wytłumaczyć po raz ostatni, że zostało mi już mało czasu. Nie chcę go tracić z Panem Bogiem. Próbował zmienić temat pytając, dlaczego mówię do niego: „Panie”, a nie: „Mój ojcze”. To mnie zdenerwowało i powiedziałem, że nie jest moim ojcem: jest po stronie innych.

„Nie, mój synu - powiedział kładąc mi rękę na ramieniu. - Jestem z tobą. Ale ty nie możesz o tym wiedzieć, ponieważ masz ślepe serce. Będę się za ciebie modlił.”

Wówczas, nie wiem dlaczego, coś we mnie pękło. Zacząłem krzyczeć na całe gardło,

przeklinać go i mówić, żeby się za mnie nie modlił. Schwyciłem go za kołnierz sutanny. Wylałem na niego wszystko, co miałem na sercu, przeskakując od radości do wściekłości. Miał taką pewną siebie minę - prawda? A jednak żadne z jego przeświadczeń nie było warte włosa kobiety. Nie miał nawet pewności, że żyje, ponieważ żył jak umarły. Co do mnie, zdawało się, że mam puste ręce. Lecz byłem pewny siebie samego, pewny wszystkiego, pewniejszy niż on, pewny swego życia i tej śmierci, która mnie czekała. Tak, miałem tylko to. Ale przynajmniej panowałem nad tą prawdą, w równej mierze jak ona panowała nade mną. Miałem rację, mam nadal rację, zawsze miałem rację. Żyłem w taki sposób, mógłbym żyć w inny. Robiłem jedne rzeczy, nie robiłem innych. Nie uczyniłem tej rzeczy, ponieważ czyniłem tamtą. Cóż ponadto? Było tak, jakbym przez cały ten czas oczekiwał na ową chwilę i ten świt, gdy zostanę usprawiedliwiony. Nic, nic nie ma znaczenia i dobrze wiedziałem dlaczego. On również wiedział dlaczego. Z głębi mojego przyszłego losu, w absurdzie życia, które wiodłem, wznosił się ku mnie od lat, które jeszcze nie nadeszły, mroczny podmuch, zrównując na swej drodze wszystko, co mi wówczas ofiarowano w latach, które przeżyłem, niewiele prawdziwszych od tamtych. Cóż obchodziła mnie cudza śmierć, miłość matki, jakież znaczenie miał dla mnie jego Bóg, rodzaje życia, los, który się wybiera, skoro jeden tylko los miał wybrać mnie samego, a wraz ze mną miliardy uprzywilejowanych, którzy podobnie jak kapelan mienią się moimi braćmi. Czy rozumie zatem? Wszyscy byli uprzywilejowani. Istnieją tylko uprzywilejowani. Ich również skażą pewnego dnia. Jego także skażą. Jakież miałoby znaczenie, gdyby oskarżono go o morderstwo i ścięto, ponieważ nie płakał na pogrzebie matki? Pies Salamana był tyleż samo warty co jego żona. „Kobieta-automat” była taką samą winowajczynią jak paryżanka, z którą ożenił się Masson, lub Maria, która miała ochotę wyjść za mnie. Jakież miało znaczenie, że Rajmund był moim kumplem. Podobnie jak Celestyn, który był więcej wart od niego. Jakież miało znaczenie, że Maria pozwala się dziś całować jakiemuś nowemu Meursaultowi? Czyż rozumie więc, ten skazaniec, że z głębi mojej przyszłości... Dławiłem się, krzycząc to wszystko. Ale już wyrwali mi z rąk kapelana i strażnicy zaczęli mi wygrażać. On jednakże uspokoił ich i popatrzył na mnie chwilę w milczeniu. Miał oczy pełne łez. Odwrócił się i znikł.

Po jego odejściu odzyskałem spokój. Byłem wyczerpany, rzuciłem się na pryczę. Pewnie zasnąłem; gdy obudziłem się, gwiazdy patrzyły mi w twarz. Odgłosy ze wsi dochodziły aż do mnie. Zapach nocy, ziemi i soli chłodził mi skronie. Cudowny spokój uśpionego lata wypełniał mnie jak przypływ morza. W tym momencie, na krawędzi nocy, zawyły syreny. Obwieszczały odjazd do innego świata, który był mi teraz na zawsze obojętny. Po raz pierwszy od bardzo dawna pomyślałem o mamie. Wydało mi się, że rozumiałem, dlaczego pod koniec życia wzięła sobie „narzeczonego”, dlaczego chciała zagrać od początku. Tam, tam również, wokół tego przytułku, w którym dogasały ludzkie istnienia, wieczory były melancholijnym wytchnieniem. Będąc tak bliska śmierci, mama widocznie

poczuła się od niej wolna i gotowa zacząć wszystko od początku. Nikt, nikt nie miał prawa płakać nad nią. Ja również czułem się gotów przeżyć wszystko od nowa. Jak gdyby ten wybuch wielkiej wściekłości oczyścił mnie ze zła, odebrał mi nadzieję; wobec tej nocy pełnej znaków i gwiazd po raz pierwszy pozwoliłem się ogarnąć tkliwej nieczułości świata. Czując, że tak jest do mnie podobny, tak braterski, pojąłem, że byłem szczęśliwy, że jestem nim nadal. I aby wszystko się dopełniło, abym poczuł się mniej samotny, pozostało mi jeszcze pragnąć, by w dniu mojej egzekucji było dużo widzów i by mnie powitali okrzykami nienawiści.